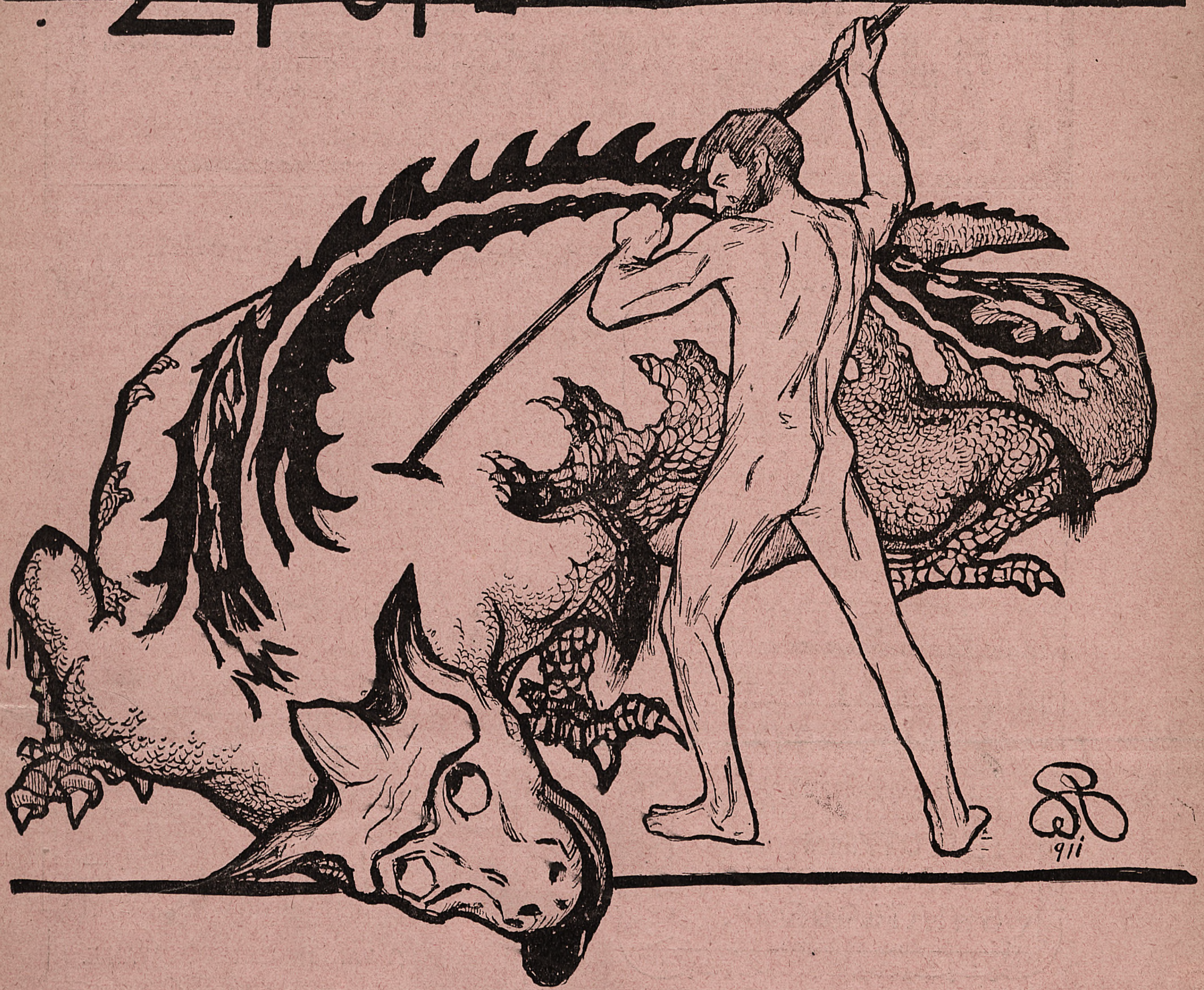
ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XLIII.

DNIA 21. PAŹDZIERNIKA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA SIENKIEWICZA L. 9.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“.

Fabryczny skład szczotek i pendzli

Lwów, ulica Kopernika 11.

poleca: wszelkie rodzaje szczotek i pendzli do użytku domowego, fabrycznego i przemysłowego, oraz pendzli artystycznych, malarskich i lakierniczych wyłącznie Krajowy wyrób.

Zlecenia z prowincyi odwrotną pocztą.

H. Czerwińska.



PIERWSZY KRAJOWY

ZAKŁAD ART. GRAFICZNY

ELEKTRYCZNIE URZĄDZONY

A. HEGEDÜS

LWÓW

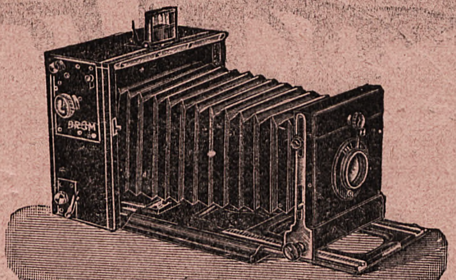
KOPERNIKA 18

WYKONUJE ARTYSTYCZNIE:
KLISZE DRUKARSKIE
WSZELKIEGO RODZAJU
DLA ILUSTRACYI KSIĄŻEK
DZIENNIKÓW CZASOPISM
ANONSÓW CENNIKÓW
ITP.

FOTOCYNKOGRAFIA
AUTOTYPIA
FOTOLITOGRAFIA
ŚWIATŁODRUK

TELEFON 1675

o cenach nader przystępnych, wykluczających wszelką konkurencyę.
Portrety powiększa do naturalnej wielkości z każdej fotografii.



JAN BUJAK

Specyalny skład i warstat
- reparacyjny aparatów -
- - fotograficznych. - -

WE LWOWIE, UL. KOPERNIKA L. 14.

poleca

APARATY, NAJNOWSZE MODELE. —
PŁYTY I PAPIERY FOTOGRAFICZNE
Z ANGIELSKIEJ FABRYKI WELLINGTON
CENY FABRYCZNE.
WYWOŁYWANIE KLISZ I KOPIOWANIE.

ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI WE LWOWIE

poleca na sezon budowlany do opału gazem:

Kuchnie, piece kąpielowe, aparaty techniczne i do rozprowadzania gorącej wody, odznaczające się trwałością i zupełnem bezpieczeństwem w użyciu.

Lokal wystawowy i do sprzedaży w pasażu p. Mikolascha.

Zalety opału gazem: Wygoda i łatwość w obsłudze, nadzwyczajna czystość, natychmiastowe wyzyskanie ciepła i taniość.

Urządzenia dla 3 płomieni świetlnych i 2 kuchennych przy użyciu zegarów automatycznych, wykonuje Zakład gazowy własnym kosztem.

Bliższych warunków można zasięgnąć w biurze Zakładu przy ul. Gazowej 28.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

RES.

KOKOWCEW CHCE ROZMAWIAĆ...

Taka już jest wola kapitalizmu, żeby rosyjski minister skarbu, zwłaszcza obejmując rządy, zlekka, po giełdziarsku liberalizował. Tchnienie międzynarodowego kapitału, z którym minister skarbu ciągle ma do czynienia, bankowo-giełdowa intuicya — sprawiają, że nawet w Rosyi na stole rządowym rubel, gdy na niego patrzy Europa, stara się leżeć daleko — od knuta. Oczywiście, są to tylko pozory, blichtr, mydlenie oczu — rzeczy, w których św. Rosya od wieków celuje. Bo podział pracy między rublem a knutem nie może zamaskować ich serdecznej zażyłości, ich zlewania się w wyższej syntezie — absolutyzmu cara i jego biurokracyi.

Ten związek nawet unaocznia się symbolicznie. Witte, gdy zasiadł na stolcu premierskim, powołał na ministra spraw wewnętrznych otwartego i zaciekłego wstecznika, Durnowę, aby ten miał pieczę nad premierskim „liberalizmem". Obecnie powtarza się ta sama historya: Kokowcew powołał na korektora swego „liberalizmu" — godnego ucznia Durnowy, Makarowa.

„Liberał" Kokowcew wsławił się swojem skrzydlatem słowem: „Dzięki Bogu, u nas niema parlamentu!" Również znanem jest jego dworowanie z „ostatniej kopiejki", o której sentymentalni demokraci powiadają, że skarb dawno już ją zabrał chłopu, — a ta „ostatnia kopiejka" lojalnie i nieustannie płynie od chłopa do skarbu...

Radość z tego, że w Rosyi niema parlamentu i że „ostatnia kopiejka" podatkowa nigdy się nie wyczerpie — czyni liberalizm Kokowcewa zgoła nieposzlakowanym. Ale — ostrożność nie zawadzi i Kokowcew, ażeby uśpić wszelką podejrzliwość „czarnosecińców", sam sobie wybrał dozorcę: ministra *rozpraw* wewnętrznych, naczelnego „urzędnika do szczególnych (katowskich) poruczeń" — Makarowa.

Więc — „od fińskich chłodnych skał do płomienistej Kolchidy nic się nie zmieni". A u nas, w zaborze rosyjskim? Nasze ugodowe Telimeny płci męskiej, do "Peterburka" wzdychające, nasze „Słowiano-Wszechpolaki" szepcą z niepokojem i odrobiną nadziei: A nuż, kto wie? „Przedpokojowcy" przez dziurkę od klucza zaglądają do nowego „gabinetu", czy tam czegoś nie dostrzegą, co otuchą napełni ich wiernopoddańcze, choć polskie serca: jakiegoś promyczka, jakiejś dryakwi kojącej, jakiegoś poczciwego ukazu — no, małego, maleńkiego... My przecież wiele nie żądamy...

„Ludzie u nas są — tylko kanału niema" — rzekł ktoś, gdy go zapytano, czy u nas możliweby były takie historye, jak Panama francuska. Otóż właśnie. Ludzie u nas są, liberya

przygotowana — tylko czy usług naszych będą potrzebowali, tam — w „gabinecie“?

Słyszycie? Kokowcew mówi, o nas mówić raczy. Z reporterem „*Temps*“, pół-urzędówki francuskiej. Otwiera przed nim swoje „narodowe“, ale nie „nacyonalistyczne“ serce, z błyskawiczną szybkością rozwiązuje kwestyę finlandzką, żydowską, polską. Za pośrednictwem onego reportera, nas zaprasza na rozmowę. On wie, że wpływowi Polacy chcą porozumienia. Ażeby porozumieć się, trzeba pogadać. Kokowcew gotów jest pogadać...

O ugodowa, dmowska „bez zastrzeżeń“ Telimeno! jedź do „Peterburka“! Pogadaj z p. premierem — a nie zapomnij też wylegitymować się „świadectwem prawomyślności“ przed p. ministrem spraw wewnętrznych...

Pogadaj, pogadaj — chociaż tyle już gadałaś, tyle się nawdzięczyłaś, tyle wstydu nałykałaś i naród swojem gadaniem pohańbiłaś!

Przyjmowałaś, ugodo, cara w Warszawie, w proch przed nim padałaś! Oświadczałaś nie raz, ale tysiąc razy, że wszelki bunt, rewolucya, powstanie to zbrodnia! Weszła dusza twoja, ugodo, w ciało n-decyi, przyodziała się „zgoda z losem“ w szatki demagogii nacyonalistycznej i kontrrewolucyjne harce na ulicach Warszawy wyprawiać jęła. Był-ci Dmowski u Wittego i obiecywał mu wzamian za autonomię stłumienie „anarchii“. Ale gdy nie mógł pod skrzydłami „autonomii“ — przelewał „krew bratnią“ pod skrzydłami sądów i stanów wojennych. Poszli Dmowsko-Baliccy w Słowiany „bez zastrzeżeń“ i z Bobrinskimi czule gadali. Państwowość rosyjską w pokorze serca przyjęli, obrożę najezdniczą z lekkiem westchnieniem, ale wiernopoddańczo ucałowali. Konica postępowego naprzód wysforowali, aby rekruta rządowi carskiemu dał, i gdy żołdak pławił się w krwi, oni prawili, że żołdak będzie bronił „odnowionej Rosyi“. Świeżo do szkół moskiewskich drogę zagrodzoną otworzyć postanowili...

Na wołowej skórze nie spisaćby, co Polacy ugodowego i n.-deckiego wyznania wygadali, by „porozumieć się“ z rządem. A rząd liberalnem uchem wysłuchał, a knutowładną ręką — tem dzielniej knutował.

P. Kokowcew chce pogawędzić — czemu nie? Jest to „dobroduszny ruskij czełowiek“— a dla Europy liberalny gentleman. I my mamy gentlemanów do pogadania. Wszak w chwili, gdy Bagrow podchodził do Stołypina, hr. Józef Potocki gawędził z premierem. A inny hrabia schwytał Bagrowa. A jeszcze inny napisał wiernopoddańczy adres do cara z powodu śmierci Stołypina.

Z takimi przedstawicielami narodu polskiego można pogawędzić. Za kotarą, słuchając gawędy, gwoli ostrożności, będą stali przedstawiciele „Związku narodu rosyjskiego“. Gdy zaś polscy mężowie stanu wypłaczą Kokowcewowi w kamizelkę swoje bóle, gdy go zapewnią o swej wiernopoddańczości, o chęci zwalczania „anarchii“, o tem, że chcą Rosyi wielkiej i potężnej na złość Niemcom, że bronią własności, ładu społecznego i wszelkich podwalin — Kokowcew przerwie im z przyjemnym uśmiechem:

— Ach, jak to dobrze, żeśmy pogadali. Już porozumieliśmy się. Zgadzam się zupełnie z panami. Resztę powie wam Makarow i wasz jenerał-gubernator, wasz wice-król polski...

Jest jednak w tem wszystkiem pewna rzecz bolesna, nie do śmiechu usposabiająca. Nizko zaprawdę musieliśmy upaść dzięki ugodzie i n.-decyi, skoro minister carski obietnicą „pogawędki“ „rozwiązuje“ kwestyę polską.

W. LIS.

ODRADZAJĄCE SIĘ CHINY.

Rewolucye nie są nowością w Chinach. Państwo olbrzymie, liczące 400, może nawet 500 milionów mieszkańców, rządzonych despotycznie przez satrapów, którzy narzuceni są z góry i traktują ludność przedewszystkiem jako źródło dochodów osobistych, państwo takie skazane jest „a priori“ na częste konwulsye wewnętrzne, szczególniej, jeśli zważyć, że władza centralna musi tam tracić nieraz kilka miesięcy czasu, by módz do zbuntowanej prowincyi wysłać wojska, potrzebne dla podtrzymania autorytetu. Ale rewolucyi dzisiejszej nie można porównać z dawnymi buntami głodowymi lub rewoltami rozpaczy przeciwko tyranii tego lub owego wicekróla. Wybuchy lokalne, pozbawione szerszej idei, można było zawsze, przy pewnym wysiłku, stłumić. Nie pozostawiały one innych śladów, jak mogiły buntowników, traconych w wyszukanych męczarniach. Dziś mamy do czynienia z ruchem świadomych swego celu i panujących nad umysłami najlepszych synów narodu chińskiego. Nie przesądza to jeszcze bynajmniej o szansach jego zwycięstwa, ale nadaje mu zgoła inne, głębsze znaczenie.

Chińczycy są narodem podbitym, rządzonym od połowy w. XVII. przez najeźdców mandżurskich. Ale ich panowie zleli się z narodem chińskim obyczajowo, przyjęli jego kulturę i władza ich polega na tem, iż stanowią oni kastę rządzącą, z której wychodzi większość wyższych urzędników cywilnych oraz wojskowych. Nienawiść do Mandżurów istniała zawsze i stanowiła tło niejednego buntu. Jednak ruch antymandżurski nie posiadał dawniej pierwiastków postępowych. Był on protestem tych, którzy byli odsunięci od zaszczytów, pragnęli ich, lecz w razie zwycięstwa nie zmieniliby prawdopodobnie niczego w ustroju państwowym. Niechęć do dynastyi oraz do wykonawców jej woli szła zwykle w parze z nienawiścią do „dyabłów europejskich“ wraz z ich

kulturą. Dopiero wtargnięcie do Chin, różnemi drogami, tej kultury, pozwoliło rozwinąć się nowoczesnemu ruchowi rewolucyjnemu. Ogromną rolę odegrały pod tym względem dwie ostatnie wojny. W r. 1894, wskutek zatargu o Koreę (która była jeszcze wtedy pod protektoratem Chin), „państwo środkowe" zmuszone zostało wydobyć oręża przeciwko Japończykom. I od pierwszych chwil tej kampanii okazało się, że olbrzym chiński bezsilny jest wobec sąsiada, osiem czy dziesięć razy odeń drobniejszego, nie może mu dać rady, dzięki przewadze wojska, wiedzy europejskiej oraz urządzeń państwowych, które Japonia posiada. To też już po tej wojnie widzimy w Chinach pierwsze próby stworzenia armii europejskiej i tego wszystkiego, co jest konieczne dla jej istnienia, więc szkół wojskowych, kolei żelaznych, a co za tem idzie — i wychowania uczonych, posiadających wiedzę, bez której nic zrobić nie można. Ale początki te były bardzo nikłe i utonęłyby może pod naporem mętnych fal tysiącoletniej tradycyi, gdyby nie przyszło powstanie bokserów, które posłużyło państwom europejskim za pretekst do wspólnego najazdu na Chiny. Straszne upokorzenie, jakiego Chińczycy doznali w r. 1900, widok sprofanowanych świętości narodowych i religijnych, rabunek Pekinu przez wojska europejskie, utrata licznych prowincyi, „okupowanych" przez Rosyan, Niemców itd. — wszystko to wywołało w Chinach zbawienną reakcyę, chęć „odrodzenia" państwa i narodu. Chcąc poznać tę kulturę, która w tak groźny sposób dała im się we znaki, liczni Chińczycy wysyłają swych synów do uniwersytetów europejskich, amerykańskich i japońskich. Jednocześnie zaś Chinom narzucony zostaje — w większym niż dawniej stopniu — przymus otwarcia granic, napływają tam produkty europejskie, fabrykanci, inżynierowie, przynosząc z sobą nowe idee. Wreszcie, w r. 1904 i 1905 sąsiad Chin składa przekonywujące dowody, że „żółci" mogą doskonale zwyciężać europejczyków, byleby przejęli ich metody postępowania.

Odtąd w Chinach powstaje silne stronnictwo reformy, które powoli zdobywa sobie adeptów w najgłuchszych zakątkach. Ale przeciw reformistom występuje wszędzie reakcya, zwolennicy starych tradycyi i wszyscy ci, którzy zainteresowani są w istnieniu dawnego ustroju. Są to po większej części urzędnicy mandżurscy. Reformistów spotykają prześladowania. Tortury, nawet kara śmierci bywają stosowane względem tych, którzy sobie obcięli warkocze. Wyżsi urzędnicy, wprowadzający reformy, wpadają w niełaskę i muszą albo wyrzekać się swych planów, albo robić ciągłe kompromisy. Wreszcie, powoli, u wielu jednostek zaczyna wytwarzać się przekonanie, że bez rewolucyi, mianowicie bez obalenia rządów mandżurskich, Chiny nigdy się nie odrodzą.

W ten sposób powstała chińska partya rewolucyjna (Keming-tang). Jej program został streszczony przez najwybitniejszego jej przedstawiciela, S u n-J a t-S e n a, w następujących czterech punktach: 1) Wypędzenie Mandżurów, 2) wyzwolenie Chin od wpływu dworów zagranicznych, 3) ustanowienie republiki, 4) konfiskata przez państwo renty gruntowej (ten ostatni punkt ma zaradzić rosnącej nędzy chłopa chińskiego, przez unarodowienie gruntów i umożliwienie ludności rolniczej ich użytkowania).

Kierownikami ruchu są emigranci i studenci chińscy w uniwersytetach zagranicznych, głównie japońskich. Sam Sun-Jat-Sen pochodzi z wysp Hawai i wychował się w Ameryce. Prowadzi on agitacyę za pomocą broszur, odezw i pism, drukowanych zagranicą i wprowadzanych do Chin nielegalnie. Miejsce jego pobytu nie jest znane, gdyż rząd chiński tropi wszędzie go, nawet zagranicą. Raz agenci rządowi zdołali schwytać go w Londynie i zamknęli już w piwnicach ambasady chińskiej, ale przyjaciele uwolnili go przy pomocy rządu angielskiego. Propaganda rewolucyjna prowadzona jest głównie w Chinach południowych, czyli w rdzennej części Chin, przytem najbardziej przemysłowej i ludnej. Znajduje ona powodzenie nietylko w warstwach, które poznały kulturę europejską, ale również pomiędzy robotnikami przemysłowymi i włościanami, gdzie nabiera odcienia socyalistycznego.

W stosunku do reformistów rewolucyoniści chińscy są wrogami, gdyż uważają ich za ostatnie oparcie rządów mandżurskich. Wśród armii nowoczesnej rewolucyoniści prowadzą czynną propagandę i sądzą, iż przeciągną z czasem jej lepszą część na swoją stronę, poczem w Chinach będzie musiało nastąpić to samo, co w Turcyi.

Rewolucyoniści chińscy już raz porwali za broń. Było to w r. 1906, 1907 i 1908. Ale ruch wtedy nie przybrał szerszych rozmiarów. Buntowały się oddzielne miejscowości, kompanie wojska, tu i ówdzie udawało się zgładzić jakiego wyższego urzędnika lub zawładnąć miastem, ale zawsze w końcu zwyciężył rząd. Najdzielniej trzymali się górale na pograniczu Tonkinu i górnicy, zaś prowincye najbardziej kulturalne — dolina rzeki Jang-Tse-Kiang, gdzie organizacya najwięcej posiada zwolenników — nie powstały. Dziś te strony właśnie objęte są płomieniem buntu, na stronę rewolucyi przeszły już dwie dywizye wojska (z pomiędzy 12, które dotąd są po europejsku zorganizowane), trzy inne podobno wahają się, a kilka wielkich miast i znaczna przestrzeń kraju uznała już władzę republiki chińskiej. Na cudzoziemców rewolucyoniści nie napadają, gdyż nie chcą dać obcym mocarstwom pretekstu do interwencyi.

Zwycięstwo republikanów chińskich jest niezmiernie wątpliwe, jakkolwiek nie jest zupełnie wykluczone. Musieliby oni złamać potęgę reakcyi, rządu, oraz wytworzyć siłę dostateczną, by oprzeć się próbom interwencyi Rosyi, Anglii, Francyi, może i innych mocarstw, zainteresowanych w tem, by Chiny pozostały nadal bezwładnym kolosem, terenem dla spekulacyi kapitalistycznej. Jest to zadanie, któremu nie sprostałby może nawet ruch tak wielki i sięgający do wszystkich warstw społecznych, jakim była ongiś rewolucya francuska.

Gdyby jednak „republika chińska“ miała zniknąć z widowni, to istnienie jej nie przejdzie bez śladu. Każdy wybuch rewolucyjny w Chinach wzmacnia stronnictwo reformistów, pobudza je do energii, a osłabia i napawa strachem reakcyjną targowicę. Gdy w grudniu 1906 r. zbuntowali się górnicy na pograniczu trzech prowincyi, objętych dziś przez rewolucyę, wtedy odbiło się to na polityce wewnętrznej w ten sposób, że powołany został znowu do władzy organizator armii chińskiej — Juan-Szi-Kai, wznowione zostało tworzenie pułków, uzbrojonych i wydyscyplinowanych po europejsku i wydany został dekret, zapowiadający ogłoszenie konstytucyi. Bunty dwu lat następnych miały podobne rezultaty. To też można mieć nadzieję, iż połączone—aczkolwiek dwoma różnemi łożyskami płynące — usiłowania rewolucyonistów i reformistów, zburzą nareszcie walący się gmach starych Chin i zbudują na Wschodzie nowe, potężne ognisko postępu i kultury.



JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY).

17

W tym rozgardyaszu przedstawiano go jakimś paniom, pannom i panom, siedzącym przy podwieczorku i wtedy zamigotały mu nagle i zniknęły zielonawe oczy tak wielkie i błyszczące. że uczuł na ich widok, jakby ukłucie lęku. Natychmiast o tem zapomniał, wrażenie ustąpiło innym, rozmawiano, pytano go się, czemu nie telegrafował o konie, pytano o rodzinę, o więzienie, o jego plany na przyszłość, o narzeczonego Wańdzi, o cenzurę Jasia itd. itd. — ale Julek zasiadłszy do stołu i odpowiadając wszystkim naraz, spostrzegł się niezadługo, że ogląda się uważnie na wszystkie strony, że bada każdą twarz, szukając czegoś — i ze zdziwieniem zrozumiał, że szuka tych przelotnie ujrzanych dziwnie wielkich błyszczących oczu. To, że nie mógł ich znaleść, denerwowało go tak dalece, że nie dobrze wiedział, co do niego mówiono.

Czyje to były oczy? Nie Teci, którą wprawdzie zaledwie poznał tak urosła i zmieniła się w dorosłą pannę i mógł też się zdziwić na jej widok — ale Teci oczęta były jak bławatki w zbożu, nie miały tej wielkości i blasku. Mania również blondynka miała oczy czarne i zawsze matowe, nawet kiedy się najbardziej bawiła. Naprzeciwko Julka siedziała młoda mężatka pani Marta Borczyńska, którą Julek poznał rok temu i pamiętał z powodu gwałtownej miłości, która ją połączyła z mężem, również zakochanym bez pamięci. Ta, zawsze hałaśliwie wesoła, siedziała dziś milcząca, a oczy jej szaro-stalowe były smutne i świeciły zimnym, twardym blaskiem. Nie — to nie te oczy. — Zdawało mu się, że obszedł już wzrokiem cały stół — i nie dostrzegał tajemniczych oczu. Zaczęło go to w końcu bawić. Ostatecznie mogły to być równie dobrze oczy mężczyzny, albo nawet jego stryjenki, pani Bielskiej. Spojrzawszy jednak na nią, roześmiał się. Pani Stanisławowa Bielska była to kobieta sucha, wysoka, zawsze elegancko ubrana, o twarzy bladawej, układnej, pofałdowanej bez wyrazu, tresowanej do miłego uśmiechu, który jej nie schodził z warg, o oczach małych, blado niebieskich i wypukłych, jak szklane paciorki.

Więc kto?

Pozostawała jeszcze otyła jejmość z sąsiedztwa, i panna Czesława Bystrzycka, siedząca zaraz za Antkiem, który wywalczył sobie miejsce obok Julka.

Ale to chyba nie ona — myślał Julek — patrząc z nieokreślonem wzruszeniem na delikatny profil i pełną, rumianą twarz panny Czesławy, której słodko ściągnięte, zmysłowe wargi płonęły barwą ciemnej maliny. Czoło miała jasne, wysokie, nos niewielki prosty, lekko zarysowany, a oczy? Czasem patrzały z pod spuszczonych powiek na Julka, ale czy to te same?

Julek przypomniał sobie, że znał ją jeszcze jako pensyonarkę. Bawił ją kiedyś rozmową. Patrzał na nią wtedy z upodobaniem, ale też z wyższością zakochanego w kim innym.

Dobrze, że ona tu jest — pomyślał niespodziewanie.

Rzucał na nią wciąż ukradkowe spojrzenia chcąc złowić chwilę, w której panna Czesława zwróci na niego wprost te wielkie, niepokojące oczy, których dawniej nie zauważył, czy nie rozumiał. Pewny już był, że one do niej należą. Tylko zobaczyć je raz jeszcze takiemi, jak w tej przelotnej chwili... Zbadać, co w nich było szczególnego — tak pięknych, głębokich, olśniewających nie widział nigdy. Błyszczały w nich pęki

gwiazd, płonęła ciekawość nieświadoma, tajemnicza, z głębi serca, szło niebezpieczeństwo, słodycz paląca.

Z roztargnieniem słuchał plotek, któremi bawił go Antek, zwracając uwagę na panią Martę i niejakiego Wapowicza, który zarządzał tartakami w Skibówce. Pani Marta, według Antka, zachowywała się pod nieobecność męża skandalicznie. Nietylko że Wapowicz siedział wciąż u niej we dworze, w sąsiednich Opalach, ale jeździł z nią na dalekie spacery i zawsze jakoś tam przyjechał, gdzie ona przypadkowo zajrzała. Oboje siedzą teraz tacy smutni — mówił Antek — bo czekają aż się skończy podwieczorek, wtedy z pewnością znajdą się na spacerze sam na sam.

Julek przyjrzał się wkońcu Wapowiczowi i uczuł do niego odrazu antypatyę. Była to twarz blondyna bez charakteru, trochę zniszczona, jakby nabrzmiała, o świecących zlekka policzkach, z przystrzyżonemi z angielska wąsami i bujną złotawą czupryną nad bombiastem czołem.

Z poza binokli szare oczki patrzyły przenikliwie i drwiąco, po małych wargach przesuwał się uśmiech cynizmu i znudzenia. Pomimo smutku, o którym wspominał Antek, pan Wapowicz robił wrażenie, że z tym cynizmem bardzo mu dobrze, nawet wesoło. Julek przekonał się potem, że cynizm jego nazywano dowcipem i że sam Wapowicz w to w końcu uwierzył.

Jego sąsiadka, pani Marta, której płowe włosy wznosiły się cokolwiek pretensyonalną piramidą nad prawie że śniadem czołem, miała w swoich nieregularnych rysach i szerokich bladawych wargach wyraz niesmaku, czy przymusu, pod którym kryło się jakieś nieubłagane, zawzięte postanowienie. Rozmawiała z Wapowiczem krótkiemi, urywanemi słowami, przyczem zlekka tylko poruszały się nozdrza jej mięsistego, choć mocno zarysowanego nosa, a szare oczy ciemniały tkliwością, lub stawały się przezroczyście stalowe.

Julek przypatrywał się tej parze z coraz większem zdumieniem. Wiedział, że Andrzej Borczyński ożenił się z nią zerwawszy z całą rodziną, która nie chciała słyszeć o ubogiej dziewczynie, podobno jeszcze rewolucyonistce „bez koligacyi". Kochali się bez pamięci — a teraz, gdy Andrzej tłukł się po świecie od całych miesięcy w celach partyjnych, czy też siedział w więzieniu, ona, w której szczerość względem Andrzeja nie podobna było wątpić — teraz tak jawnie? — z innym?

Przypomniał mu się nagle muzyk i ten drugi — u Wacka.

Dziwne podobieństwo położenia? Czyż to tak zawsze bywa?

Gorycz zalała mu serce, ale nie miał czasu się nad tem zastanowić, bo już wszyszy wstawali od stołu i Julek znalazł się obok panny Czesławy.

— Pani na długo przyjechała? — zapytał, patrząc jej w oczy cokolwiek za śmiało.

— O ja już tu jestem z miesiąc — odpowiedziała z uśmiechem, dowodzącym, że zauważyła zapał jego spojrzenia i że to ją zabawiło. — Tak się pan zmienił, że nie byłabym poznała pana.

— Ja także w pierwszej chwili nie byłem pewny, czy to pani — zwłaszcza, że... chciał coś powiedzieć o tych oczach, ale się wstrzymał. Jednak... może to nie te oczy... Na twarz panny Czesławy padał teraz cień od obrastających werandę liści winnych, za któremi słońce lśniło wprost w oczy Julkowi.

— Że co? —

— No... bo pani się tak zmieniła... stała się pani dorosłą panną... cały koloryt pani się zmienił, a oczy... jąkał się Julek, czując, że nie wybrnie.

Panna Czesława zrozumiała jednak, o co mniej więcej chodzi, bo roześmiała się już zupełnie otwarcie.

A tak. Okropnie zbrzydłam.

— Nie, nie, nie. Ależ co znowu, przeciwnie — ja właśnie mówię jako malarz...

Panna Czesława bawiła się doskonale.

— To pan ciągle maluje?

— Teraz dopiero naprawdę zacząłem — rzekł Julek z pewną dumą, poczem zmarszczył zlekka brwi, podniósł głowę i pogładził się po włosach. Chciał dać do poznania, że to dla niego rzecz poważna.

Natychmiast jednak wrócił do wesołego tonu i rzekł naiwnie:

— Ach, żeby pani wiedziała, jaka to ciężka sprawa!

— Co malować? —

— Tak — ale malować coś takiego, wie pani, co to się długo o tem myślało — o, to bardzo trudno! Nie wiem sam jeszcze czy to potrafię.

— Trzeba się pewno dużo uczyć.

— E, nie, nie to. Naturalnie, że trzeba, ale ja nie o tem mówię. Cóż? uczyć się... Całe życie artysta się uczy. Ale jeżeli się już nawet umie i wszystko się przygotowało, i studya i szkice i rysunki i tam dalej, i dopiero się zaczyna naprawdę — ach, to aż mróz przechodzi! Bo to zdaje się wtedy, że już nic — wszystko wiem, i jak to będzie wyglądało i jakie barwy i wszystko wyliczyłem — a przy robocie może wyjść coś takiego, że... Nie, to bardzo trudne, pani nie ma pojęcia, jak ja się już namęczyłem. — Raz dobrze wychodzi, raz źle! No, ale ja już wiem jak to będzie — o ja już teraz dobrze wiem!

Panna Czesława spojrzała na Julka kilkakrotnie z zaciekawieniem i z zdziwieniem.

— To pan zaczął teraz dużą kompozycyę?

Julek zmarszczył się nagle.

— Tak.. Właśnie niedawno — — mówił z przymusem.

— Cóż to będzie?

— Taka sobie historyjka! — roześmiał się jak najswobodniej, kryjąc przerażenie, jakiego doznał, że mógłby wypowiedzieć to jakiejś pannie Czesławie — i może jeszcze wyznać, że to się tyczyło tamtej!!...

Czym ja zwaryował? — pomyślał, przymuszając się do jeszcze większego przestrachu. Gadam z nią, jakbym ją znał od Bóg wie kąd...

Próbował wmówić w siebie, że to było poprostu zbrodnią, że tak jakoś niewiadomo czemu zaczął jej opowiadać o takich rzeczach, z których przecież jeszcze nawet przez myśl mu nie przeszło zwierzać się nikomu.

— Dureń jestem — szeptał, choć nie było w nim prawie wcale żadnego żalu. Ale to go właśnie zaczęło złościć naprawdę. Patrzał teraz

na pannę Czesławę, jak mógł najkrytyczniej. Jaka gruba — konstatował bez żadnej w gruncie rzeczy przykrości. Niezgrabna — fałszował dalej swoje spostrzeżenia. Jadzia taka lekka jak płomień — zatęsknił niezupełnie szczerze.

Panna Czesława niemało by się zdziwiła, gdyby spojrzała w jego impertynenckie w tej chwili oczy. Ale właśnie Mania i Tecia wpadły na nią i na Julka, organizując spacer do lasu. Chodziło o to, czy pójść, czy pojechać.

Julek i panna Czesława jednogłośnie opowiedzieli się na pójście.

Spojrzeli na siebie — Julek ze złością, ona z nieokreślonym, zdziwionym uśmiechem. Julek już miał ochotę cofnać swój głos, ale naprawdę chciało mu się chodzić, jak nigdy w życiu.

Usta mu wykrzywiła ironia tak zachwycającej dumy, jaką by mógł czuć pretendent do tronu francuskiego, gdyby mu ofiarowano koronę Monaco. Ale panna Czesława, Bogu ducha winna, nie dostrzegła nawet, że zajmuje w myślach Julka miejsce podrzędne, możnaby rzec przyziemne, aż takie, ktore mu dozwalało znieść z pogardą wspólność z nią upodobań. Poszła z Tecią do pokoju po szal. Tymczasem, gdybyż wiedziała, jaka burza zawrzała teraz w sercu Julka! Brwi jego ściągnęły się groźnie, jak u żołnierza osaczonego przez wrogów. Oczy ciskały zupełnie sztuczne błyskawice, na usta wybuchały przekleństwa wymierzone do samego siebie:

— Ładnie zaczynam swój pobyt na wsi! Błazen, flirciarz, kabotyn!

Byłby jeszcze dodał: „rozpustnik“, ale to mu się wydało nieco przesadne i niespodziewanie roześmiał się.

— O co mi właściwie chodzi? zapytał siebie prawie głośno i teraz dopiero zauważył, że stryjenka stała przed nim ze słodziutkim uśmiechem, który zaczynał przechodzić w szczery śmiech.

— Artysta taki zamyślony — mówiła uprzejmie, nikłym, bezdźwięcznym głosem. — Będziemy pewno dużo malowali! Może chcesz zobaczyć swój pokój?

— A i owszem! — odpowiedział Julek zmięszany i poszedł za nią.

Za werandą była jadalnia, pełna trofeów myśliwskich, z których najpiękniejszym był olbrzymi łeb dzika, srożący się potężnymi kłami nad dębowym staroświeckim kredensem. Drzwi z jadalni prowadziły na korytarz, z którego po trzeszczących drewnianych schodach szło się na górę. Tam był pokoik dla Julka z oknem na ogromny świerk, stojący na prześlicznie zielonej murawie ogrodu, pełnego stuletnich drzew.

— Ach jak tu ładnie! zawołał Julek. Dziękuję stryjence, będzie mi tu jak w raju! Zawsze marzyłem, żeby mieć swój osobny pokój! Dobrze, że chociaż te parę dni...

— Oo, cóż znowu, nie puścimy cię tak zaraz. Musisz wypocząć po więzieniu. Czemu zaraz nie przyjechałeś?

Julkowi nagle się przypomniała cała Warszawa.

— Sam nie wiem — odpowiedział ze smutkiem. Byłem taki jakiś zdenerwowany, trochę pracowałem. Wcale nie więzienie mnie zdenerwowało — dodał natychmiast z niesmakiem, przypominając, że ktoś mógłby doprawdy, jak w domu, wziąć go za „bohatera“! — tylko tak jakoś... Dojrzewam! — zawołał nagle ze śmiechem.

Pani Stanisławowa uśmiechała się ciągle uprzejmie, życzliwie.

— Rozruszamy cię! — rzekła wesoło — i ścisnęła mu obydwoma rękami dłoń. Julek pochylił się do tych rąk znacznie gorętszych, niżby po tej letniej kobiecie można było przypuszczać — a ona pocałowała go w czoło.

— A teraz chodźmy, bo na nas czekają.

I cicha, spokojna, trochę sztywna, zlekka szeleszcząca wytworną czarną suknią, zaczęła schodzić prawie bez szmeru z niepojętym instynktem omijając trzeszczące miejsca na stopniach.

— Chodzi jak kot! — pomyślał Julek, przypominając sobie, że zawsze go to dawniej zdumiewało.

Gdy zeszli do jadalni, pani Bielska skierowała się do drzwi na prawo, za któremi było coś w rodzaju czytelni, pełnej szaf z książkami.

— Idźcie, ja zaraz za wami pojdę — rzekła do Julka i weszła do czytelni, w której jakiś mężczyzna przeglądał dzienniki, stojąc przy stole.

— Pewno stryj — pomyślał Julek. — Może by się z nim przywitać? (C. d. n.)



HENRYK SALZ.

Z CYKLU „MOCARZE“.

HEFAJSTOS.

Bądź pochwalony, jasny ogniu, który strzelasz
krynicą łaski twórczej w głębiach wulkanicznych
i sercu gór wydarty kruszec w kształty wcielasz,
wyśnione przez rycerzy w ich snach tytanicznych.

Wielbię cię — i tę moją samotność podziemną
i niestrudzone pracą ręce me hartowne,
co w płynny topią ogień każdą bryłę ciemną,
by stężała w rynsztunki trwałe i szacowne.

Nie tworzę ludzkich losów, gdy w stal biję młotem,
nie zmieniam woli bogów, gdy kuję oręże;
moja tarcza nie chroni przed przeznaczeń grotem,
miłego bogom włócznia moja nie dosięże...

Lecz męże wierzą w zbroje me, że los im znaczą,
z mą bronią idą ufni na śmiertelne trudy;
krzepkość wlewam w ich serca i pychę junaczą —
czczą mnie losu kowalem, a jam kowal złudy...

Więc nie zdradzę im nigdy, że czyn mój daremny,
że się z ich młodej dumy pobłażliwie śmieję;
spełniam swe posłannictwo pracy: przez podziemny
trud swój herosów dźwigam — chociaż sam kuleję...

ARYMAN.

„BOY-SCOUTS'Y“.

Z zagadnień polskiego wychowania.

Dziwna nazwa... Po polsku możnaby powiedzieć „chłopaki — wywiadowcy“, choć to nie oddaje w zupełności znaczenia wyrazu ani rzeczy samej. Boy Scouts'y to próba zorganizowania dzieci, próba zrzeszenia ich w karną, sprawną gromadę, której każdy osobnik „potrafi dać sobie radę we wszystkich okolicznościach życia“. Dziecięce stowarzyszenia Boy-Scouts'ów zapoczątkowali na większą skalę Anglicy. Na myśl tej nowej próby w dziedzinie wychowania naprowadzili ich podobno Boerowie, którzy w czasie swej wojny z Anglią mieli gorliwych i skutecznych pomocników w dzieciach. Te istoty drobne i zręczne; a obdarzone już wysokim poczuciem obywatelskości wyświadczyły znakomite usługi jako gońcy, posłańcy, wywiadowcy. Anglicy pojęli, widząc to, na czem po-

legała, skąd płynęła dziwna wewnętrzna wyższość boerskich żołnierzy nad ich wojskiem. Prawo obrony ojczyzny, święte zobowiązanie wobec ziemi i ludzi, którzy na niej żyją zakonem „wspólności odczuwań i podobieństwa twarzy duchowej“ związani, wpajane było dzieciom holenderskich wychodźców od najwcześniejszych lat, nietylko w teoryi, ale i w twardym czynie życia. A że Anglia przekonała się przytem, jak źle wychodzi na swych wojskach najemnych, postanowiła sobie tedy, (zwłaszcza wobec grożącej jej wojny z Niemcami) wychować niezwyciężonych obrońców ojczyzny przez zasiewanie w dzieciach swoich drogą systematycznej i praktycznej metody wychowawczej idei bojownika ojczyzny, obywatela służącego jej wszystkiemi władzami swego jestestwa. Z Anglii przedostała się idea Boy-Scouts'ów, gdzie organizacye te istniejąc od kilku miesięcy, około 200 członków licząc, i do Finlandyi [1]), gdzie jednak niedawno rząd moskiewski stowarzyszenia te (chłopców i dziewczynek) rozwiązał, jako wysoce niebezpieczne dla państwowego ustroju Rosyi. W Polsce próbował ją wprowadzić w życie zupełnie prywatnie zresztą ksiądz, jeden z kuracyuszów galicyjskiego Kosowa (charakterystyczne).

Tak się mniej więcej przedstawia historya Boy-Scouts'ów. Ale o nią mniejsza. Więcej zastanawia nas istota rzeczy i jej założenie.

Idea Boy-Scouts'yzmu wyniknęła, wykwitła z odradzającego się i potężniejszego zagadnienia patryotyzmu. (Nie roztrząsam tu łatwo zrozumiałych nadziei, jakie w tej instytucyi pokładać mogą rządy i państwa; patrzą na rzecz ze stanowiska społeczeństw ze stanowiska tego, co one chcą i mogą zrobić, gdy sprawę tę w swoje wezmą ręce). Ostoją normalnego życia narodu jest chwała jego niekrępowanej własnej niebosiężnej kultury, jest wolna, silna i bezpieczna ojczyzna. Ostoją wolności i siły ojczyzny są bezwzględnie jej obywatele-obrońcy, żołnierze jej sprawy.

„Do chwały trzeba wychowywać“. Do przyszłej chwały narodów trzeba wychować pokolenie obrońców-obywateli, o zakroju starożytnych „cives“, bogatszych o całe dostojeństwo współczesnych zdobyczy w dziedzinie ducha i ciała.

Nadawać już dzisiaj znaczenie takiego wychowawcy Boy-Scouts'yzmowi byłoby to uderzać w tony zbyt wysokie. Jest on jednak bezwątpienia założeniem, punktem wyjścia dla szerokiego rozwoju tej idei wychowawczej, która wzbogaci współczesną pedagogię o wzniosły, anheliczny pierwiastek.

Ale sprawa nie jest tak prostą. Nie chodzi tu jeno o umiejętność robienia bronią, ani o czysto fizyczne właściwości żołnierza. Rzecz komplikuje psychologia współczesnego człowieka. Człowieka, który w zgiełku i brzydocie dzisiejszego kramarstwa i bankierstwa z jednej strony, a w żmudnej jednostajności pracy fizycznej, czy duchowej z drugiej, zatracił zdolność chłonięcia w siebie przecudownej różnorodności zjawisk, a przez to uszczuplił i zdziwaczył swoją wydajność duchową. Człowieka, którego wyobraźnia jest często bohaterska, wzniosła i dzielna, a ciało nie zaradne i tchórzliwe. Człowieka, odsuwającego się od istotnej rzeczywistości życia w świat własnych, często chorobliwych przywidzeń w świat chimer i złych duchów rozkładu, co z niego, jak ze średniowiecznego kościoła wygnane być muszą przez reformę wewnętrzną, przez odkupienie jego duszy dla normalnego harmonijnego życia, dla zgody jego treści z formą, jego psyche z tak zwanym światem zewnętrznym. Praktycznie przedstawia się to jako ściśle i, że się tak wyrażę ideowe połączenie fizycznego wychowania z psychicznem. I dziś bowiem, w dobie bacznego zwrócenia uwagi na doniosłość fizycznego wychowania idą te dwie strony pedagogicznych trudów, ta swoją drogą a ta swoją. Niema między niemi naogół harmonii, łącznika ideologicznego, będącego wzniosłym akordem zgody.

Boy'Scouts'y mają zdobyć ową zgodę drogą praktycznego wcielenia, wzajemnych oddziaływań psychicznej i cielesnej strony życia.

I to wychowanie harmonijnego człowieka jest środkiem, — a stworzenie doskonalszego typu obywateli, celem tej organizacyi. Dobry Boy-Scouts powinien widzieć, słyszeć i wiedzieć wszystko co się naokół dzieje. Jego uszy powinny odbijać najlżejszy szmer, a oczy spostrzegać i dostrzegać najdrobniejszy ślad, zwiastujący niebezpieczeństwo, najmniejszy promyczek światła, ukazujący drogę w ciemności. Powinien on umieć przezornie i odważnie z uśmiechem pokonywać największe trudności, a nadto i to przedewszystkiem, powinien nietylko sam umieć sobie dać radę, ale potrafić w każdej chwili pomódz innym. I ten pierwiastek prześlicznego altruizmu, wypływającego z doskonałej kultury indywidualnej, która pozwala zawsze sobą władnąć, jest może najpiękniejszą stroną Boy-Scouts'yzmu. Aby osiągnąć tę moc władania sobą, tę zdolność oryentacyi psychicznej i fizycznej, tę czujność wyostrzonych zmysłów i uwagi, aby się jednem słowem od zmiennej fali okoliczności uniezależnić i samemu raczej być ich twórcą, odbywają Boy-Scouts'y naprzód z kierownikami, a potem cały szereg ćwiczeń.

Urządzają dalekie, dłuższy czas trwające wycieczki, na których obowiązani są dawać sobie radę sami, nawet w zupełnie nieznanych okolicach. Uczą się zaradzać i pomagać w nagłych wypadkach zasłabnięć, skaleczeń i td.; wysubtelniają i kształcą słuch, wzrok i zdolność oryentacyi przez ćwiczenia, przypominające wojenne manewry, przez zbadanie nieznanych sobie okolic, przez tworzenie sytuacyi, wymagających szybkich decyzyi i przenikliwości umysłu. Wprawiają się w karność w stosunku do obranego przez siebie wodza i w dokładne wykonywanie poleceń. W tych zapasach z naturą i własnemi nieudolnościami kształci się i hartuje zarówno charakter, jak ciało. Boy-Scouts, któryby solidarność i honor gromady złamał przez kłamstwo, zdradzenie powierzonej tajemnicy i td. bywa poddany sądowi, ewentualnie wydalony. Należeć do stowarzyszenia mogą dzieci od lat bardzo wczesnych. Widziałem w Brukselli maleńkich Boy-Scouts'ów, nie mających więcej jak osiem lat.

Lekki pilśniowy kapelusz, objęty żółtym paskiem skórzanym, szara luźna bluzka z licznymi kieszeniami, pas, przy którym metalowa świstawka, siekierka-młotek, manierka, wełniane zwinięte okrycie, nożyk i td.; krótkie do kolan granatowe, albo niewarowe spodnie; kolana odkryte, krótkie pończochy z zielonawej wełny, mocne trzewiki, w ręku wysoki górski kij — oto strój Boy'Scouts'a. Jak dotąd jest to strój dosyć drogi. Sprawę udostępnienia go powinny wziąć na siebie szkoły publiczne, aby umożliwić należenie do stowarzyszenia dzieciom niezamożnym. W Belgii instytucya Boy-Scoutsów spotyka się także i z krytyką. Zarzucają jej, że niepotrzebnie rozwija w dzieciach militaryzm w czasach dążenia do powszechnego pokoju,

[1]) Przypuszczam, że organizacye Boy-Souts'ów istnieją już w innych krajach, nie mam jednak co do tego pewnych wiadomości.

Ale ta sama Belgia jeszcze przed paru tygodniami z niepokojem obliczała swe siły militarne. Co do mnie, antymilitarystą będąc w zasadzie, mam jednak w tej kwestyi zdanie z polskiej wyrosłe doli i mojego jej pojmowania. Pokój powszechny wtedy jeno przyjdzie, kiedy już żaden naród krwi za swą wolność nie będzie potrzebował przelewać, albo kiedy w kulturalniejszej przyszłej ludzkości będzie można krwawy konflikt niewoli na innej, niekrwawej drodze rozwiązywać.

Wracając do Boy-Scouts'ów — militarne tendencye tej organizacyi są zatym jej wartością przemijającą, koniecznością, posiadającą znaczenie póty, póki obrona kraju wymagać będzie przelewu krwi. Ale jak każda sprawa, tak i ta posiada w sobie ziarno wartości nieprzemijającej i wiecznej. Jest nią idea stworzenia godnego syna Narodu, strażnika narodowej kultury. A Naród to coś, co może nie jest z rzeczy wiecznych, ale czego kresu ani przewidzieć ani zobaczyć dziś nie podobna.

* * *

I oto, gdy podejmujemy tę zasadniczą, jak ja to widzę, ideę Boy-Scouts'yzmu, uderzy nas jedna rzecz.

Dziwne jest — smutna ironia zjawisk — że myśl stworzenia doskonałych obrońców ojczyzny rodzi się i w rzeczywistość obleka w krajach wolnych, w krajach, które obrony stosunkowo mniej (jeśli tu można operować pojęciami mniej i więcej) potrzebują, niż naprzykład Polska, a które bacznie i czujnie widzą dalekie horyzonty swej chwały, widzą jakich trzeba warunków narodowego pożycia, aby sobie tę chwałę zapewnić.

Polska jeno po staremu szare widzi łęgi, i najsmutniejsze wądoły bezowocnego a świętego męczeństwa ducha. A tego jeszcze dobrze widzieć się nie zdaje, że jej to w pierwszym rzędzie trzeba być obrońców ojczyzny szkołą. Wchodzą tu oczywiście w grę zaborczych państw nikczemne zarządzenia, ich polityka i zła wola. Ale przeglądnąwszy całokształt pracy ideowej, prowadzonej w czasach ostatnich śród młodzieży, począwszy od pracy najbardziej legalnej, skończywszy na sekretnych spiskowych kółkach i zrzeszeniach [1]), ujrzymy, że sprowadza się ona (o ile wogóle mówi o Polsce) do kształtowania w duszy łaknącej chleba nowych wartości, Chimery Polski, coraz piękniejszej, coraz doskonalszej, coraz bardziej godnej miłowania. Zapomina się tak doszczętnie i tak bezwiednie o tym, że zdobywanie Polski, to nie tylko święty pochód ku zjawom jakiejś bożej przyszłości ducha, ale to także twardy, ciężki, nie szukający uznania trud codziennej, nieustannej ofiary czynu, ale to także rzeczywisty faktyczny czyn bojującego o wolność ciała. I w tym może leży okrutna tajemnica przeoczenia bohaterskich, pomarłych bez chwały zapasów z wrogiem z roku 1905—7. Tajemnica tego, że Okrzeja i Mirecki nie wsączyli się jeszcze w krew i świadomość Narodu jako jego bohaterowie.

A tymczasem Polska — to rzeczywisty czarny ugór, przewalany rękami chłopa, nad którym ciąży jeszcze tragedya niedostatecznego uświadomienia sobie niewoli, to rzeczywiste miasta, w których wróg stawia szubienice samotnym bojownikom wolności, i w których ludzie bogaci o niewoli już zapomnieli, to rzeczywistość ciężkiego ponad miarę życia, krzyczącego wniebogłosem o jakieś waleczne zburzenie i jakieś nowe odbudowanie.

Któż go dokona?

Nowego na to trzeba żołnierza.

Wymagania polskiego patryotyzmu zmieniają się i przetwarzają. Staje się on — patryotyzm — bardziej istotnym i rzeczywistym. Przestaje być pańską wolą posiadania ojczyzny, lub ukochaniem garści wyjątkowych. — Wchodzi ożywczą krwią w rdzeń Narodu — Lud, i stamtąd wypromienia jasno-postawionym, bezwzględnie określonym wskazaniem: Niepodległa Polska.

A rycerz „nowego Polski zakonu" (imię jego — Naród) to nie będzie typ popowstaniowego patryoty, pozytywisty, budującego Polski potęgę skarbami swej wiedzy umysłowej, stwarzającego miast Polski rzeczywistej, intellektualny surogat Polski; to nie będzie „Wokulski", układający na Jej ziemi przelśniące góry złota, stwarzający jej rzekomą potęgę ekonomiczną, również złudę, z pod której wylęgnie się niewolnicza psychologia zwolenników „organicznego wcielenia do Rosyi".

Ten nowy patryota, to człowiek, co po ziemi polskiej spojrzy od krańca do krańca, i dojrzy rozesłaną na niej szarą mgłę złudy, jak pajęczyna grobów oplątującej dusze, i mamiącej, że można żyć i tworzyć w niewoli. To człowiek, co wstydem płonie, za to, że Polska koronę męczeńską nosi i wolność głosi światu, wolności własnej nie zdobywszy. Wstydem spłonie za owe „pół rycerzy żywych", co pozostaje w Polsce po każdej walce, za to, że zbyt mało krwi przesyciło tę ziemię „krwi i mogił", skoro jeszcze chleb jej tuczy, miast karmić nienawiścią do ciemięzcy i wolą walki. Ten nowy patryota polski to człowiek z ludu, czyli z nieszczęśliwych i niezadowolonych. Umiejętnie, mężnie, nieodwołalnie podejmie on brzeszczot walki i wojnę wypowie wrogowi na śmierć albo zwycięstwo. Takiego trzeba wychować.

To, co o Boy-Scouts'ach napisałem wskazuje, że możnaby z podobnych organizacyi stworzyć czynnik wychowania polskich obrońców ojczyzny, w krew i myśl polskich dzieci wszczepić ideę walki, a w ręce dać walki umiejętność.

Państwo cara zakłada „roty pocieszne". Może z nich wyjdą nowi pogwałciciele wolności narodów.

Polska odpowiedzieć na to winna zakładaniem organizacyi dziecinnych, przygotowujących od lat wczesnych do obrony i tworzenia nowej ojczyzny.

„Wynoście czamary powstańskie i starsi i młodsi: bo wszyscy jesteście żołnierzami powstania Ojczyzny". Te proste słowa proroka i wieszcza zaczęła Polska przypominać. Trzebaby ją na nowo wyryć w duszach; ich marmur twardszym jest dzisiaj.

„Wszyscy jesteśmy żołnierzami powstania Ojczyzny".

[1]) W tej dziedzinie są dziś konkretne i poważne zmiany.

JULIUSZ SZALIT.

TEATR PIĘCIU TYSIĘCY.

I.

Przed paru tygodniami miałem sposobność zetknąć się bezpośrednio z Reinhardtem i towarzyszącymi mu artystami i poświęcimszy dłuższy czas studyom i obserwacyi tego niezwykłego teatru. Starałem się uświadomić sobie, gdzie i w czem leży przyczyna, co i w jaki sposòb wpływa na rozwój jego i o ile aureola, nadająca mu charakter czegoś egzotycznego, znajduje swoje usprawiedliwienie.

Stoimy bezsprzecznie przed czemś niezwykłem i nie codziennem. Mamy przed sobą teatr, przeżywamy w nim nieznane nam dotąd wrażenia, w czasie, kiedy niezliczony szereg innych teatrów i przedsiębiorstw, nietylko Niemiec, ale całej Europy, nie darzy nas niczem nadzwyczajnem. Tu i ówdzie słyszymy o jakiejś wybitnej osobistości aktorskiej, od czasu do czasu bierzemy udział w jakiemś przedstawieniu i wyrastającem — przed dobrą grę, czy wystawę — ponad przecietną miarę, od lat jednak może dziesięciu, tj. od czasu, kiedy naturalizm mimo wszystko niepodzielnie w literaturze i sztuce królował i swoje największe tryumfy święcił, nie byliśmy świadkami jakiejś uwagi godnej zmiany we formie i wyrazie dramatycznej sztuki.

Stoimy obecnie właśnie przed takim wypadkiem. Naturalizm należy do przeszłości i swoją racyę bytu stracił. Konieczność, odwieczne prawo rozwoju, zmiatające z areny życia wszystko co przekwitłe i zużyte, czerpie jednakowoż z przeżytej, zanikającej formy najlepsze swoje soki dla wytworzenia formy wyższej, nowej. Na gruzach starego domostwa wyrasta gmach nowy. Kto zostaje na dawnym stopniu, nie stoi, lecz cofa się wstecz. Exemplum: Brahm i Stanisławski.

Niedawny to czas jeszcze kiedy berliński »Lessing-Theater« należał do pierwszych kiedy nadawał ton i kiedy był środowiskiem, w którem powstawały wszelkie śmiałe innowacye, kiedy Otto Brahm był dla świata teatralnego tem samem, czem dziś jest Maks Reinhardt. Niedawny czas kiedy Stanisławski, jeden z pierwszych pionierów i twórców naturalizmu w teatrze stał u szczytu sławy i rozwoju. I oto ten sam Stanisławski, który połowę życia swego pracował w jednym kierunku nie waha się ani chwilę, po ostatnim pobycie swoim w Berlinie przed paru laty z ensemblem swego »Artystycznego teatru«, oświadczyć gotowość zerwania z dawną formą i stać się śladem Reinhardta, poniekąd ucznia swego, neoklasykiem. A Brahm? — daje do dziś dnia jeszcze niebywałe koncerty aktorskie, nie zdolne jednak do utrzymania wytycznej linii i jednolitej całości...

II.

A więc neo-klasycyzm? O nazwę mniejsza. Reinhardt rozpoczyna pierwszy zeszyt swoich »Blätter des Deutschen Theaters« niezapomnianemi słowami Goethego: „Bitte, Künstler — rede nicht"... Bo najszumniejsze słowo nie zakryje płytkości myśli i odwrotnie najprostszy wyraz odda pełnię i moc treści. A więc nie w tem rzecz. Dla Reinhardta staje się dziś teatr czemś więcej, jak tylko środkiem wypowiedzenia się poety i czemś więcej aniżeli polem działania aktora — Reinhardt otwiera podwoje swojej sceny dla poety i aktora, malarza i dekoratora, kompozytora i technika scenicznego: Nic nie jest mniej lub więcej ważnem w jego pojęciu, równie jak malarzowi ta lub owa barwa, lub muzykowi ta lub owa nuta. Może sztuka aktorska, lub ściślej: ruch, akcya jako wartości pierwotne, które teatr zrodziły i w bardziej pokrewnem związku z nim stoją — góruje ponad tem wszystkiem[1]).

A więc pewnego rodzaju: laterna magica, bogata w obrazy i dźwięki jak życie samo i przesuwająca przed naszemi oczyma nieskończone bogactwo tonów i barw, raz ciemnych i głębokich, to znów radosnych, jasnych. Bez krępowania się w temacie, bez klasyfikowania charakteru aktorów. Dziś tragicy a jutro klowni, dziś śmiech a jutro płacz, dziś przygniatająca potęga głębokich tonów — jutro lekki taniec i śpiew.

— A wszystko jako środki pomocnicze prowadzące do jednego, wielkiego celu. A tym celem: teatr.

I w tem tkwi istota twórczości Reinhardta, w tem jego konsekwentna, planowana robota, rozszerzająca coraz szerzej, coraz bardziej ramy teatru, rozwidniająca jego widnokręgi, stwarzająca możność nieustannego rozwoju, nieustannych zmian i eksperymentów i znajdująca wreszcie w obecnem stadyum swoje ujścib w wielkiej, cyrkowej arenie.

II.

Wystawienie „Orestei" Aischylosa a poprzednio jeszcze sofoklesowskiego „Edypa-Króla" nie jest więc tylko dawno oczekiwaną senzacyą, nie jest przemijającym eksperymentem. Stoimy wobec problemu, którego przyjęcie lub odrzucenie nie jest i nie może być zależnem, od mniej lub więcej logicznych spekulacyi myślowych — tu musimy się zdać tylko i jedynie na nasz zmysł artystyczny, na bezpośrednie uczucie i siłę z jaką wrażenie otrzymaliśmy i tylko ono może stać się racyonalnem kryterium dla naszej obserwacyi i oceny. I nie pomogą stosy artykułów walczących rozmaitą bronią przeciwko Reinhardtowi, nie pomoże nawet nie rzadkie ośmieszanie: Reinhardt kroczy śmiało i pewnie po tej nowej linii, prowadzącej do corazto lepszych wyników, Być może, że ten teatr jakim on go mieć chce, będzie — społecznie — wartością niższą może nasz obecny dotychczasowy tear, spełnia lepiej swoje zadanie: kształcenia i rozwiiania ale może też dlatego był i jest raczej literackiem conference, aniżeli teatrem.

W innem miejscu[2]) dałem obraz przedstawienia „Orestei" — wraz z jej głównemi momentami. Dziś chciałbym tylko poruszyć najważniejsze zasadnicze cechy Reinhardtowskiej reżyseryi, techniki jego teatru i aktorów. (Dla uniknięcia nieporozumienia: mówię o t. zw. »Volksfestspiele« monachijskich, podczas których wystawiono w wielkiej hali „Ausstellungspark" urządzonej na sposób areny cyrkowej zamkniętej z jednej strony olbrzymiemi stopniami, prowadzącymi do

[1]) Patrz: niezmiernie zajmujące dzieło: Eduard Gordon Craig: „Die Kunst des Theaters". Verlag: Hermann Seemanns Nachfolger. Berlin u Leipzig 1905.

[2]) „Gazeta wieczorna" Nr. 257 i 259 z dnia 2 i 4. września.

zamku w Argos względnie Olimpu, kolejno „Oresteję“ Aischylosa i „Orfeusza w piekle“ Offenbacha — nie zaś o berlińskich teatrach Reinhardta.) Główną rolę w tych cyrkowych widowiskach gra tłum. Tłum rzeczywisty, wprost z ulicy wzięty, złożony z robotników, studentów, razem około 1000 osób. Nauczany, kierowany przez długi czas, podczas szalonych prób, chce i umie się wczuć w atmosferę dzieła i spełnia swoje zadanie w zupełności. Przez wielką ilość, przez zgodność, to znów różnorodność tonów w chórach, przez pewne powtarzające się motywy w sposobie wygłoszenia, wydobywa Reinhardt łudzące wrażenie rzeczywistości. Brak kurtyny i „sceny‘, brak dekoracyi, suflera, nieszczęśliwych świateł rampy scenicznej, wielkość przestrzeni, wejścia i wyjścia od strony publiczności, bezpośredni kontakt wytwarza obraz czegoś istotnie dopiero po raz pierwszy przed naszemi oczyma odbywającego się. Nie widzi się autora, tylko człowieka, nie statystów a żywy, ruchliwy, pełen różnorodnych dźwięków i drzemiących namiętności tłum. Znika reżyser, znika cała maszynerya teatralna, nie jesteśmy skazani patrzeć, jak Czechow mówi, na aktorów obracających się w pokojach o trzech ścianach, na teatralne przedstawienie — mamy natomiast widowisko, w którem sami udział bierzemy. I mimo to, albo raczej dlatego: potęga słowa działa na nas tak sugestywnie, że chcemy w silniejszych momentach razem z tłumem krzyczeć, razem z nim i śmiać się, i płakać, i szaleć. Chcemy razem z nim biedz przez ulice miasta, bo nie wątpimy, że takie istnieje, nie mąci wrażenia naszego i jego intenzywności myśl, że możemy spotkać tam dalej... inspicyenta. I kiedy po skończonym obrazie smugi światła rzucą się nam w oczy, nie słabnie wrażenie ani przez chwilę, nie mamy wprost czasu namyślać się, bo już przed sobą następny obraz widzimy.

Niewątpliwie duże zasługi mają tu aktorzy. Arena stawia swoje specyalne wymaganie, które nie każdy łatwo pokona. Trzeba specyalnie do tego nadających się aktorów i specyalnych studyów. Zaniknąć tu bowiem musi wszelka drobnostkowość, cała t. zw. subtelna gra. Występuje na plan pierwszy tylko mocne słowo i wielki gest. To też nie wszyscy zdolni dać to, co Moissi. Z kobiet np. jedyny tylko Eysold; Janina Terwin poniekąd. Ale ponad to wszystko podziwiać można i trzeba geniusz tego, który w jednolitą całość to skupić potrafił.

IV.

Jako czwartą część aischylosowskiej tragedyi, jako zwykle w greckim teatrze używany „dramat satyryczny“ — wystawił Reinhardt operę-buffo Ofenbacha: „Orfeusz w piekle“.

Już z początkiem letniego sezonu objął on naczelne kierownictwo tutejszego „Künstlertheater“, dając dwie komiczne opery: „Piękną Helenę“ i „Temidore“ Digby la Touche'a. Kierownictwo muzyczne objął Aleksander Zemlińsky, pierwszorzędne siły operowe dla tej imprezy angażując. Przedstawienia te, grane na scenie były niejako wstępem, przygotowaniem i stwierdzeniem sił, które w „Orfeuszu“ najwyższy punkt swój osiągnęły. Tu znów roztoczył ten niezmordowany reżyser przepych i bogactwo barw w kostyumach i dekoracyach, o którem trudno dać pojęcie. Reinhardt przeniósł amfiteatr w krainę baśni i snów, zadziwiając mnogością pomysłów. A muzyka offenbachowska była mu tylko środkiem, była tylko rytmem, w takt którego postacie się poruszały. I raz jeszcze mieliśmy możność przekonania się, tym razem zupełnie jasno i dobitnie, o dewizie Reinhardta. Reinhardt, wyprowadzając powstanie teatru z tańca i akcyi, ruchu, wie i rozumie, że publiczność żądną jest bardziej tego co zobaczy, aniżeli tego, co usłyszy i w ten sposób wraca niejako do pierwotnych wartości, które teatr zrodziły.

Jak różnorodną jest jego praca, jak obszerne i szerokie horyzonty ogarniającą, może dać dowód fakt, że obok imprez zagranicznych w Londynie, Budapeszcie, obok tournée w głąb Rosyi i równoczesnego funkcyonowania obu jego teatrów berlińskich, obok wreszcie operetki i cyrkowych przedstawień w Monachium, pracowano jeszcze nad mysterium angielskiem „*Every-man*“ [1]), z lat 1520—1530, należących do kategoryi tzw. „moral play“, które poprzedzały właściwy dramat angielski. Tę „nowość“ opracował dla użytku sceny i dzisiejszych wymogów Hofmansthal. Premiera odbędzie się w Berlinie na specyalnej scenie, urządzonej na wzór scen średniowiecznych mysteriów. Jeżeli do tego dodamy coraz częstsze przedstawienia pantomimiczne (przeważnie w berlińskich „Kammerspiele“, obecnie w Londynie „Sumurûn“) zyskujące coraz szerszy rozgłos i upodobanie, to możemy sobie wytworzyć obraz pracy i kierunku tego genialnego reżysera.

V.

Mimowoli nasuwa się myśl o polskim teatrze i przyszłym jego rozwoju. Niewątpliwie i u nas czas ten nadejdzie, kiedy się dzisiejszy teatr zrewolucyonizuje i w nowych ramach, czy to cyrku, czy też teatru „de la nature“, lub w stylu Elcazar d' Éte spełni swój wielki obowiązek, wystawiając kolejno wszystkie dramaty Wyspiańskiego, w których drzemie niezgłębiona treść dla reżysera w reinhardtowskim stylu, bogactwo, piękno i siła, której nam pozazdrościć może Europa, gdyby to zrozumieć mogła..

Monachium, 21. września 1911.

[1]) „Every-man“ = którykolwiek, jakikolwiek, ktoś, symbolizuje ludzkość.

Z TEATRU.

(«Powrót posła« komedya w 3 aktach J. U. Niemcewicza, »Bigos hultajski“ kom. w 2 aktach J. Drozdowskiego, »Spazmy modne «kom. w 3 aktach W. Bogusławskiego).

(*S. F.*) Znaliśmy »Powrót posła» dotychczas tylko z lektury szkolnej, tę poważną komedyę, w której autor — młody poseł inflancki przemówił jakby z mownicy sejmowej. Wielkie plany wiekopomnych reform, dyskusyę nad nimi roztoczył przed forum publiczności warszawskiej, by swym młodym zapałem porwać słuchaczów, by olśnić granitowemi podstawami wolności i potęgi narodu, by otworzyć oczy na wszystkie wady i braki w Rzeczy pospolitej i natchnąć do wielkiej pracy około odrodzenia. A także

by i w ich piersi tchnąć wraz z entuzjazmem gorącego serca i z ukochaniem dla sprawy ten optymizm, tę wiarę w rychłe nadejście innych czasów.

Tendencya polityczna obok wartości artystycznej użyczają dziełu Niemcewicza powagę wielką i znaczenie w rozwoju komedyi naszej. Jest to wielki krok naprzód w naszej literaturze dramatycznej. Już nie tłumaczenie, lub przeróbka z obcych wzorów, lecz szereg postaci z mniejszą lub większą wyrazistością zarysowanych, a nadewszystko z naszego społeczeństwa wydartych, w szczegółach nawet bystro zaobserwowanych. Wprawdzie schemat intrygi, jak i sposób przeprowadzenia jej wedle ówczesnego szablonu stworzony, jednak charaktery już nie konwencyonalne, lecz żywe i swojskie. Postać zaś Starościny i męża jej, konserwatysty, dusigrosza i polityka zaściankowego odcinają się ostro od reszty figur wyborną charakterystyką.

»Powrót posła« wystawiono z wielkim nakładem pracy i z starannością. Artyści podjęli zadania swe z pietyzmem; przygotowanie było godne tego dzieła, opanowanie ról u wszystkich doskonałe. Toteż grano Posła w statecznem tempie, a na scenie, jak na widowni w ten wieczór panowała powaga. P. Jaworski odegrał świetnie rolę Starosty Gadulskiego; dobrą była p. Rotterowa, jako sentymentalna i attandrywująca się Starościna, p. Chmieliński — Podkomorzy i inni. Jedynie p. Dobrzański, (Szarmantski) bardzo niezgrabnie dzielił na części wiersz gładki i potoczysty komedyi.

W »Bigosie hultajskim«, komedyi bardzo słabej i nudnej, zadziwia pomysł Drozdowskiego, na owe czasy bardzo śmiały: w drugim akcie przedstawia na scenie więzienie, do którego za długi dostaje się grupa elegantów warszawskich, wśród nich także bohater Walery. Ody, jakie ci karciarze i utracyusze wygłaszają na cześć kozy nie pozbawione są wdzięcznego komizmu. Jedynie ta scena interesuje i nieco bawi. Trzy inne sklecił autor niedołężnie, intrygi żadnej niema, charaktery z wyjątkiem Frontyna, kamerdynera Starościca, niezdarnie nakreślone, postać Biedosza całkiem bez przyczyny — chyba dla scharakteryzowania gołębiego serca starościny — błąka się po scenie. Słusznie nazwał komedyę Drozdowskiego Al. Tyczyński bigosem — dodać należy, nazbyt przewalonym morałami.

Mimo wybornej gry artystów (p. Frączkowski, nadzwyczajny Frontyn, p. Bednarzewska — piękna i dobra Starościna, p. Feldman — świetnie ucharakteryzowany Dozorca więzienia), »Bigos hultajski« nużył i nudził rozwlekłością i morałem. Scenę w więzieniu odtworzono dobrze.

Tak dwie te komedye, które złożyły się na trzecie przedstawienie cyklu polskiego dramatu zagrano bez zarzutu. Tego jednak nie można powiedzieć o wystawieniu »Spazmów modnych",

Jest to komedya par excellence intrygowa, jakby ją nazwał ks. A. Czartoryski, w ktorej wedle słów tego teoretyka sztuki „charaktery wysługują się imprezie, czyli osnowie. Bogusławski w Spazmach nie poświęca wiele starania, by bohaterów wyposażyć w rysy i szczegóły charakterystyczne. Staremu aktorowi, znawcy warunków scenicznych chodzi przedewszystkiem o życie komedji. Akcja, która wraz z przyjazdem pułkownika Zdawnialskiego toczy się bardzo raźno i wesoło, obfituje w sytuacye dziś jeszcze śmiech w teatrze wywołujące.

Sytuacji niektórych bardzo zręcznie z wszelkimi pozorami prawdopodobieństwa stworzonych nie powstydziłby się niejeden dzisiejszy komedyopisarz francuski. Wymagają jednak doskonałego opanowania ról i szybkiego tempa. Tego jednak nie zauważyliśmy na scenie: nie zrobiono tego, co można było z pietyzmu dla »Ojca sceny narodowej« dokonać. Oczekiwaliśmy hołdu, jaki teatr winien Bogusławskiemu i sztuce we Lwowie stworzonej i tu po raz pierwszy odegranej. Onegdajsze wznowienie »Spazmów modnych nie było takim hołdem.

Sztuki bowiem odpowiednio nie przygotowano, pamięciowe opanowanie ról u niektórych artystów było słabe, a skutek tego taki, iż tempo nazbyt powolne, efekty nieznaczne. Spazmy potraktowano po macoszemu, czego obrazem wielka opieszałość reżyseryi: w akcie drugim autor dla większego prawdopodobieństwa sytuacyi wykracza przeciw klasycznej jedności miejsca — tłumaczy i kładzie nacisk na to we wstępie. Reżyserja jednak chciała być bardziej klasyczną, niż sam autor i sceny, z których jedna odbywa się w gabinecie Hrabiego druga w pokoju Hrabiny bez zmiany dekoracyi umieszcza w przedpokoju. Ta jedna okoliczność świadczy dobitnie, że mówić nie można o należnem staraniu i respekcie, z jakim »Spazmy« miały być wznowione.

Przygotowane były jedynie artystki (pp. Bednarzewska, Jankowska, Dobrzańska); innych tłumaczy gorączkowa pogoń dyrekcyi za premierami. P. Dobrzański świetnie ucharakteryzowany dał znakomitą kreacyę Doktora Mizantropskiego, p. Feldman Jurgę, służącego pułkownika, a p. Nowacki Służalskiego.

Borys Godunow, opera w 4 aktach, M. P Musorgskiego.

(*R. Z.*) Tegoroczne gościnne występy Didura przyniosły nam rzecz u nas rzadką, zawsze przez dłuższy czas zapowiedzianą i reklamowaną premierę operową. Wybrano w tym celu operę, stworzoną jakby jedynie dla Didura, poza postacią którego przez cały bieg sztuki majaczeją tylko jakieś inne figury, beztreściwe, dodane jakby tylko dla zapełnienia 8 odsłon, nie powiązane ze sobą żadną wspólną nicią. I nie można powiedzieć, by nie wystawiono u nas opery tej starannie, owszem znać było staranną reżyserye, a i orkiestra była prowadzoną przez p. Wolfstala bardzo poprawnie. Znać było zrozumienie i zgranie się, co w ostatnich czasach podczas innych występów Didura, nie często mogliśmy zauważyć. A jednak cała opera minęła bez wrażenia, obojetnie, chłodno przyjęta przez publiczność, akcya istniała wyłącznie (stworzona grą Didura) w trzech odsłonach, w których ukazuje się Borys, a wina to zarówno muzyki, jak i libretta. Muzyka utrzymywana w czasie poszczególnych odsłon w pewnym stylu, wprowadzała do nich specyalny nastrój, robiący nawet wrażenie związane z tłem akcyi (np. scena koronacyi, oparta na motywach organowych, lub w klasztornej celi, gdzie orkiestralnem przeprowadzeniem gam wywołuje nastrój ciszy i spokoju muzyka niezbyt bogata, nie za uboga jednak dla stworzenia większej całości. Ale... było tło, nie było żadnej akcyi. I im bardziej zbliżamy się ku końcowi sztuki, tem widoczniejszym staje się brak akcyi, brak całości. Szereg scen krótkich, luźnie bardzo powiązanych, sceny z życia ludu rosyjskiego, barwne, muzycznie interesujące, wnoszące szereg motywów ludowych, nastrój specyficznie rosyjski, jak n. p. scena w karczmie, lub scena wkroczenia Dymitra na ziemię moskiewską, zakończona

proroctwem waryata, z zasadniczą jednak treścią dzieła, tak muzyczną, jak libretta, nie mające nic wspólnego. I wrażenie dzieli się, rozpada na szereg mniej lub więcej pięknych epizodzików, a nie widzi się muzycznego dzieła, nie widzi się całości. Wyłania się zasadniczy kontur, odsłony pierwsza, czwarta, i ostatnia, a postać Didura występującego w tych scenach potęguje jeszcze wrażenie odrębności, dopomaga do usunięcia na plan dalszy, do zatarcia efektów poszczególnych scen.

Jak wspomnieliśmy na początku, operę Musorgskiego wystawiono starannie; partye chóralne szły nieźle, orkiestra grała wyjątkowo dobrze. Ze solistów na plan pierwszy oczywiście grą i śpiewem wysuwał się Didur, on trzymał całą operę, skupiał na sobie oczy wszystkich, w ogromnie męczącej i trudnej do grania partyi, jak zawsze, znakomity. Jak przyjęła go publiczność, dowodem rzucane kwiaty i ogromne owacye. P. Dobosz w partyi Dymitra był głosowo niezwykle dobrze usposobiony. Dawno nie słyszeliśmy go tak czysto i pewnie śpiewającego. Szkoda, że dyrekcya teatru używając p. Dobosza bezustannie do zbyt forsownych i nieodpowiednich dlań ról, nie pozwala mu wzmocnić i rozwinąć głosu, oraz zmusza do cenienia go niżej, jak na to, jak widać z występu w Borysie zasługuje. Pni Ada Nekar śpiewała bez zarzutu, dobrze wykonały swe role pp. Blumenthalówna, Sawicka, i Zachorska, oraz p. Zopoth. Wyjątek stanowił p. Paszkowski, który widocznie nie był głosowo usposobiony. Opera Musorgskiego długiego powodzenia nie zapowiadała, ale trzy przedstawienia poświęcone jej przez dyrekcyę naszego teatru zapełniły widownię do ostatniego miejsca. Partya Didura dawała zresztą gwarancyę tego.



EDWARD I JAN STĘK.

NA MARGINESIE SPRAWY SZKOLNEJ W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

WARSZAWA — BRUKSELA W LIPCU.

I.

„CZASÓW NIKCZEMNOŚĆ ZROBIŁA SWOJE".

> Tak długo, tak niezmiennie była ona królową wydarzeń, że poczęto w nią wierzyć, jako w jedno z kardynalnych praw żywota...
> Jest więc gra na śmierć i życie — ale na śmierć by chluby, na zadławienie się marnością, stoczenie okropne w upodlenie, ze stopnia na stopień, coraz niżej, gdzie już bolą nawet resztki własnego szacunku.
> *A. Górski „Monsalvat".*

„Egoizm narodowy" Zygmunta Balickiego i „Neoslawizm bez zastrzeżeń" Romana Dmowskiego ciekawą syntezę podłości wytworzyły w stronnictwie, chlubnie mianującem się spadkobiercą Ligi Narodowej.

Jest w Polsce dzisiejszej dużo bandytów myśli politycznej, rzezimieszków i posiepaków publicystycznych z pod znaku ugody i wstecznictwa. Zmieniają się ich wodzowie, z krańca lewego na kraniec prawy szybko przebiegający. Nikt nie odmówi uczciwości i bezsprzecznej dobrej wiary Ludwikowi Straszewiczowi, natomiast nikt chyba zalet tych nie przyzna Warskiemu, lub Dmowskiemu. „Czasów nikczemność zrobiła swoje". Wychowaniec gimnazyum rosyjskiego w Warszawie, p. Roman Dmowski, zakładał tam kółka młodzieży, referował na nich bardzo „socyalistyczne" kwestye, ba kolportował nawet rosyjskie wydawnictwa. I jakie wydawnictwa!...

Ten samorodny nie-Mickiewiczowski przecie Roman Wallenrod miał czoło oświadczyć publicznie, iż nawet ofiarę składał ze swej osoby, zamkniętej w cytadeli warszawskiej, by niweczyć wpływ socyalizmu na młodzież.

I zapewne był za pieniądze Skarbu Narodowego prezesem wszechrosyjskiego Koła Polskiego li tylko po to, by zwołać zjazd ostatni stronnictwa N. D.

Ze źródeł poważnych zakomunikowano nam, że zjazd ten obesłany był przez manekiny Dmowskiego manekinami Dmowskiego. Mówiono nam otwarcie, że gdzieniegdzie Roman Dmowski mianował nawet delegatów na zjazd.

Musiał bowiem zjazd ten „uregulować stosunek społeczeństwa polskiego do młodzieży polskiej i do szkoły polskiej".

I stosunek ten, wreszcie definitywnie, uregulowała młodzież polska ze szkoły polskiej, ure-

gulowała, policzkując publicznie Romana Dmowskiego.

Rezolucya, czynem kol. Ostrowskiego jednogłośnie przez młodzież całą przyjęta „jak najściślej obowiązuje całe stronnictwo N. D.“

Nie wszyscy jednak ze stronnictwa tego są zdania, że „kosztem krzywdy osobistej Romana Dmowskiego został zrobiony ważny krok naprzód na drodze uzdrowienia opinii“. Bo oto stronnictwo to rozpada się w gruzy.

Na kogo innego teraz kolej...

Zaś by przyrzeć się nieco całemu obozowi wstecznictwa polskiego w stosunku do szkoły polskiej, przytoczymy tu jedną „rewelacyę“ z roku ubiegłego.

Do Prezydyum Wiecu z dnia 11. czerwca 1910 r.

DEKLARACYA.

Wobec tego, że stowarzyszenie młodzieży postępowo-niepodległościowej, „Filarecya“, organizując wiec wspólnie z Towarzystwem Polskiej Młodzieży Postępowej, pozbawiło nas możności wypowiedzenia swego zdania w sprawie szkolnictwa polskiego, zmuszeni jesteśmy ograniczyć się do następującego oświadczenia:

Zważywszy, iż w szeregach młodzieży polskiej, tendencyjnie rozpowszechniany jest pogląd, jakoby Socyal-demokracya Królestwa Polskiego i Litwy nawoływała młodzież do łamistrejkostwa, iż na wiecu tego rodzaju zarzuty mogą być wytaczane, niniejszym jak najenergiczniej przeciw temu protestujemy.

Zaznaczamy:

1. że walka o zdobycie wolnej, świeckiej, narodowej szkoły, dostępnej dla najszerszych mas ludowych jest ścisie związana z rewolucyjną walką o demokratyzacyę form państwowych;

2. że wobec obecnego zastoju w ruchu wolnościowym walka o szkołę i obrona istniejącej szkoły winna z konieczności przyjąć inne formy, gdyż bojkot, nie oparty o silny ruch rewolucyjny, nie posiada żadnej wartości, stwarzając iluzyę wśród młodzieży polskiej możności zdobycia szkolnictwa polskiego niezależnie od zwycięskiej rewolucyi.

3) że dalsze trwanie bojkotu sprowadza się tylko do piętnowania coraz to szerszych zastępów młodzieży, usuwając ją tą drogą z pośród społeczeństwa.

Jedynie młodzież wraz z ludem polskim rewolucyjną akcyą może wywalczyć wolność naszego kraju, a w szczególności uczelnię polską.

Grupa młodzieży Socyal-demokratycznej, Leodyum, dnia 11. czerwca 1910 roku.

Bezpośrednim skutkiem tej rezolucyi było ogłoszenie przy „Czerwonym sztandarze“ artykułów, zalecających „inną formę“ walki o szkołę polską, mianowicie zapełnienie przez młodzież polską gimnazyów i uniwersytetów carskich w Warszawie.

Jak Roman Dmowski, tak i Warski schylali czoło przed koniecznością szkoły polskiej, jednak i jeden i drugi zalecali szkołę rosyjską. Warski — w imię socyalizmu rewolucyjnego i w imię dobra ludu, Dmowski — w imię patryotyzmu prawdziwego i też w imię dobra ludu.

Dobro ludu! Oh, obydwaj ci panowie zaświadczyli o swej pieczy nad dobrem ludu w okresie walk bratobójczych — — —

(Dok. nast.)



SPRAWOZDANIA.

(M. Kraj.) *Mieczysław Smolarski: Poezya powstania listopadowego. Kraków — G. Gebethner i Sp. Warszawa — Gebethner i Wolf. 1911.*

„Dziś ani już takich dni chwały, ani takiej wiary płomiennej, ani takich pieśni, któreby leciały jak ptaki z ziemi do ziemi, z chaty do chaty, z dworu do dworu i krzesały myśli polskie. Jeno jedna ta sama dziś. co i wtedy, tęsknota, jeno jedna ta ufność pokorna, nieutulona i niezmienna, że przecie jakaś moc jest na niebie, choć i nieraz już ból wdzierający się w serca i odwodzący je od narodowej myśli, nawet poetów, włóczy niemi po polach“...

Dosyć! Kto to pisze? Mieczysław Smolarski, czy — Stanisław hr. Tarnowski? Nie, niema odsyłacza: zdania dosłownie przepisane z omawianej książki p. Smolarskiego (str. 108–9). Więc?

Więc jesteśmy wdzięczni autorowi, że nam tak łatwo ukazał rodowód książki. Rzut oka choćby na styl pracy p. Smolarskiego pozwoli z całą pewnością odnieść ją do szkoły prof. Tarnowskiego, której wpływ zaciężył i nad zaletami i nad wadami nin. rozprawy — tak co do języka, jak i co do ujęcia tematu i „metody“.

A zatem zalety: a więc ten język taki piękny, taki barwny, taki potoczysty, i ten styl taki gładki, taki dźwięczny (choć nazbyt tu dużo hr. Tarnowskiego *plus* fejletonowa lekkość prof. Tadeusza Grabowskiego) i ten smak dobry, to na wpół wykwintne estetyzowanie z moralizatorskiem zacięciem, ten sąd umiarkowany, chwytający się zwykle złotego środka, zastrzegający się zawsze skromnem „choć“ lub może“ i ten taki polski, pogodny optymizm, że „jest przecie jakaś moc na niebie“, i ten taki poufale-serdeczny stosunek do dawnych dziejów, osób, rzeczy...

W tem się zawiera cały „sposób“ prof. Tarnowskiego i jego szkoły: on o p o w i a d a, szeroko, barwnie, płynnie, gładko prześlizguje się po powierzchni zjawisk, wszystko niknie w błękitnej pogodnej dali, sprawy żywe i konkretne po przejściu przez pryzmat pięknych słów ulegają załamaniu ku bezdźwięcznemu a ładnemu procesowi, giną problemy, zagadnienia, konstrukcye. — i to wszystko ma swój urok, jak swój tęskny urok ma wieczorna opowieść kochanej babuni, kiedy o zmroku zasiądzie w głębokim fotelu przy płonącym kominku i najserdeczniejszą pamiątkę wojaka kochanego włosów pukiel złoty ze skrytego puzderka wyjmuje i mówi o rzeczach

dawno minionych, przyprószonych złotawą aureolą pięknej przeszłości.

Tak więc — mówiąc o „sposobie pisarskim“ hr. Tarnowskiego — omówiliśmy pod jednym względem pracę p. Smolarskiego. Książka jego jest taką ładną, miłą, w stylu Tarnowskiego. narracyą o poezyi powstania l listopadowego, narracyą powtarzam, bo wartości naukowej przyznać jej nie można.

Przekona nas o tem pobieżne przyjrzenie się układowi książki, metodzie pracy i ujęciu tematu.

Już nawet gazeciarscy „wzmiankarze“ czynili zarzuty układowi rozprawy p. Smolarskiego. Dzieli się ona na dwie części; Cz. I. nosi tytuł: „Pieśń żołnierska“ (z poddziałami chronol.), cz. II.: »Pieśń poetycka“ (ta liczy trzy poddziały: 1) Piosenkarze powstaniowi, 2) Rycerze-poeci, 3) Mickiewicz, Słowacki i Pol). Podział ten jest nawskroś wadliwy, uzasadnienie autora (str. 6—7) nie wytrzymuje krytyki, a rozbicie materyału na takie działy i poddziały, oparte na dowolnej klasyfikacyi i szeregowaniu, niemożliwe prawie do przeprowadzenia. Toteż autor musi niektóre wiersze omawiać dwukrotnie (o Suchodolskim, Kowalskim, Kicińskim mowa w I. i II. cz.), Brodzińskiego, Wężyka i in. omawia w dziale „pieśni żołnierskiej“, wyrządzając im tem niesprawiedliwość, brak mu miejsca dla Witwickiego (o którym tylko luźne wzmianki w cz. I.) poza swemi kategoryami niejako stawia Mickiewicza, Słowackiego i... Pola (razem ich szeregując) itd. Wadliwego swego układu sam autor nie zdołał konsekwentnie przeprowadzić.

A metoda? To jest najsłabsza strona pracy. Autor staje wobec obszernego materyału zdezoryentowany: poprostu streszcza wiersz za wierszem (liryka!) przeważnie słowami poety, hojnie rozrzucając cytaty, i excerpta te opatruje estetyczną oceną, że ten lub ów wiersz jest „wcale poetyczny“ lub „niewybitny“. Oczywiście streszczenie liryków jest bezpłodną pracą, a nieumotywowana ocena — nieumotywowaną oceną. — Te streszczenia grupuje następnie p. Smolarski bądź chronologicznie, bądź według tematów i motywów, bądź według „rytmu“, „tonu“, kierunków literackich..., terytoryów, bądź według autorów. Stąd też liczne kolizye, które czasem sam autor spostrzega W wierszu interesuje go przedewszystkiem strona anegdotyczna, i na tę stronę kładzie główny nacisk przy analizie, choć i formie poświęca nieraz ogólniki, że jest „gładka“, „śpiewna“ itp.

„Metoda“ ta nie wymaga polemiki, ponieważ nie jest wcale metodą naukową. A przecież należyte postawienie materyału pod względem formalnym i metodycznym doprowadziłoby do pewnych wniosków ogólniejszej natury. Takich właśnie wniosków ogólniejszej natury, samodzielnego ujęcia, jakiejś szerszej konstrukcyi — brak. Dodamy, że poglądy na romantyzm nazbyt trącą podręcznikiem szkolnym

Dałem tylko uwagi ogólne o rozprawie p. Smolarskiego, gdyż nie rozporządzałem tym materyałem rękopiśmiennym (z bibl. Jag. i Czart), na którym poważnie opierał się autor. Zresztą nie tu miejsce na szczegółową ocenę strony faktycznej Nie wiem np. czy p. Smolarski wyczerpał materyał, czy w Rapperswilu i Paryżu nie znalazłoby się jeszcze więcej utworów powstańczych. Stawiać to przypuszczenie pozwala mi ten fakt, że w bibl. Ossolińskich, która nie jest przecie specyalnie (jak Rapperswil) uposażona w rękopisy odnoszące się do 30—1 roku, znalazłem kodeks rękopiśmienny (l. inw. 1028), w którym mieści się cały szereg wierszy powstańczych, nieznanych — jak mogę wnioskować z książki p. Smolarskiego — autorowi omawianej pracy. Mieszczą się tam np. „Rytmy zbrojne“ Mikołaja z Pokucia, Oda do Zgody na Sejm 18. grudnia 1830 r. arne oblężenie Warszawy, Cztery Wiwaty, Barkarola „Ojczyzno długo gnębiona“ i inne.

SILVA RERUM.

ODEZWA KOMITETU OBYWATELSKIEGO BUDOWY POMNIKA JULIUSZA SŁOWACKIEGO we Lwowie. Nieznany za życia, skrzywdzony po śmierci, legł Juliusz Słowacki, pomazaniec Boży w obcej ziemi, zdala od granic Rzeczypospolitej, której sławę i dolę zamknął w nieśmiertelnej pieśni.

Jako straż wierna a czujna, rozbiegł się Duch jego wszerz i wzdłuż ziem umiłowanych, w chwale wielkiej i majestacie, smutny tylko, że nie widać zorzy wyzwolin.

A wielkim pobudowano świątynie. mocarzom wzniesiono grobowce, las posągów chwali olbrzymy, jeno Król-Duch samotny czuwa na rubieży.

I dziwić się tylko, że niema w Polsce miejsca, gdzieby stanął posąg poety, jako drogowskaz dla przyszłości.

Ochotnie więc wołać do ludu, bo jeśli serca w nim jako dzwon czyste, jako spiż dźwięczne — oddzwonią na odgłos imienia poety.

Ofiary potrzeba, którą niech niesie naród ku swej własnej chwale!

Niech stanie posąg pierwszy w Polsce i niech rozwidnia dolę narodu!

Bo mały ten lud, co czcić nie umie swych największych i wyrzeka się swych proroków.

U granic Rzeczypospolitej — we Lwowie niech wzniesie się pierwszy posąg Słowackiego.

Niech śpieszą wszyscy na wołanie, wszyscy w narodzie i z datkiem bogatym i z groszem wdowim, by spełnić obowiązek wobec poety.

Zwracamy się do wszystkich po kolei, do wszystkich osób i stowarzyszeń na obszarze ziem polskich z wezwaniem do składek.

Niech naród złoży Królowi-Duchowi dostojny dar!

Za Komitet obywatelski budowy pomnika Juliusza Słowackiego we Lwowie: Dr. Józef Kallenbach, prezes. Dr. Jan Kasprowicz, Franciszek Rawita-Gawroński, Dr. Tadeusz Rutowski, wiceprezesi. Dr. Wiktor Hahn, sekretarz. Dr. Władysław Ćwik, zastępca sekretarza. Wojciech Biechoński, skarbnik. Stefan Kossak, zastępca skarbnika. Aniela Alexandrowiczówna, Dr. Jan Bołoz Antoniewicz, Michał Browiński, Marcelowa Chlamtaczowa, Gustaw Daniłowski, Dr. Bronisław Dembiński, Emanuel Dworski, Dr. Ludwik Finkel, Zygmunt Fryling, Dr. Bronisław Gubrynowicz, Dr. Michał Janik, Dr. Maryan Kukiel, Bronisław Lewicki, Juliuszowa Makarewiczowa, Dr. Jan Gwalbert Pawlikowski, Ludwik Baldwin Ramułt, Edmund Riedl, Zygmunt Wasilewski.

(AZ) W SPRAWIE SEJMOWEJ REFORMY WYBORCZEJ odbyło się nowe zebranie nowego ciała politycznego — mianowicie przewodniczących klubów sejmowych i parlamentarnych, pod przewodnictwem p. Głąbińskiego ze współudziałem namiestnika i referenta p. Starzyńskiego.

Nowe to zbiegowisko polityków oczywiście sprawy nie posunęło ani na krok, a z komunikatu wydanego dowiedzieliśmy się, że... wybrano nowy subkomitet, który ma się zastanowić i coś kiedyś ułożyć, a ponadto obradowano nad tem, gdzie byłoby najlepiej tego rodzaju posiedzenia odbywać!

Tak więc do całego szeregu komisyi i konferencyi przybyła jeszcze jedna wraz z nieodłączną swoją subkomisyą i subkonferencyą.

Ta metoda obradowania nad sprawą sejmowej reformy wyborczej niedługo stanie się już legendarną i wzbogaci język polski o niejedno przysłowie zapewne. Niestety jednak kosztem najważniejszych interesów krajowych.

Sprawa referatu p. Starzyńskiego obudziła na szpaltach prasy demokratycznej gorące słowa oburzenia. Czynnego przeciwstawienia się jednak nie wywołała wśród demokracyi. I tu leży cały punkt ciężkości sprawy, w stanowisku „demokracyi walczącej“ o przyszłość reformy wyborczej.

Z RAPTULARZA.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA zaczyna sprawiać europejskiej dyplomacyi coraz większe kłopoty. Na trypolitańskim teatrze wojny nie zaszły dotąd ważniejsze wypadki, co jeszcze raz dowodzi słabości i niedołęstwa włoskiej organizacyi wojskowej. Z 2-tygodniowem opóźnieniem wylądowali Włosi w portach Trypolisu 30-50000 korpus ekspedycyjny, nie zdobyli się jednak dotąd na jakąkolwiek akcyę zaczepną. Przeciwnie 5—6.000 oddział turecki poparty przez najwyżej kilkunastotysięczne siły krajowców przeszedł, ze swojej silnej pozycyi w górach Dżebel Nefuza, do ofenzywy, niepokoi forpoczty włoskie i usiłował nawet opanować nocnym napadem główne wodociągi stolicy, położone w rejonie strzałów floty włoskiej. W okolicach Trypolisu i Bengasi stoczono szereg potyczek, które obie strony rozgłaszają jako swoje zwycięstwa, podając nieprawdopodobne cyfry strat przeciwnika.

Z posuwającą się wolno akcyą wojenną rozwiewają się nadzieje szybkiego załatwienia zatargu, który już dotąd kosztuje Włochy 500 milionów lirów. Z oświadczeń, zarówno rządu, jak i stronnictw świeżo zebranego parlamentu tureckiego wieje duch stanowczego oporu przeciw uroszczeniom włoskim, a równocześnie zaczyna społeczeństwo wojnę ekonomiczną, mogącą zadać wrogowi nieobliczalne straty. Obawa przed nimi zdaje się pchać rząd rzymski na bardzo niebezpieczną drogę. Włochy grożą przerzuceniem teatru wojny na morze Egejskie, atakiem wysp tureckich i blokadą lub bombardowaniem głównych portów Smyrny i Salonik. Chwycenie się takich środków spowodować by mogło generalną burzę na Bałkanach. Już dziś występuje rząd bułgarski, po długich konferencyach o nieznanej treści z Wiedniem, nadzwyczaj agresywnie wobec Turcyi i zaczął mobilizacyę swoich wojsk. Równocześnie dochodzą pogłoski o mobilizacyi wojsk rosyjskich i o zamierzonej aneksyi Egiptu przez Anglię. Bezwzględne stanowisko Włoch, nie chcących przyznać sułtanowi nawet tytularnej zwierzchności nad Trypolisem, ani odszkodowania pieniężnego, wywołały stanowczy zwrot antywłoski w Niemczech. Barometr opinii publicznej — „Berliner Tageblatt“ umieścił artykuł, żądający wprost wypowiedzenia Włochom sojuszu, który Niemcom — wedle zapatrywań autora — nigdy nie przyniósł korzyści, a krępuje ich wobec Turcyi. Zdecydowanie wrogie Włochom stanowisko, zajęło najmiarodajniejsze dla działań monarchii austryackiej pismo „Reichspost“. Atakuje ono Aehrenthala, za zbyt przyjazne dla Włochów stanowisko i żąda energicznej polityki bałkańskiej. Ponieważ „Reichspost“ reprezentuje czynniki, które niedawno obaliły Schönaicha, jest rzeczą prawdopodobną, że Aehrenthal popadnie w niełaskę i otrzyma dymisyę, a wraz z nim upadnie trójprzymierze. Włochy przeszłyby w takim razie otwarcie na stronę trójporozumienia, czego oddawna domaga się cały naród włoski. W takim razie stałyby się Włochy z niepewnego sojusznika otwartym przeciwnikiem obu mocarstw niemieckich.

REWOLUCYA CHIŃSKA. Oddawna tlejące w „państwie środka“ bunty zamieniły się w otwartą rewolucyę, zagrażającą dziś bytowi najokrutniejszej i najniedołężniejszej dynastyi świata. Z wytężeniem wszelkich sił udało się dwa miesiące temu odzyskać rządowi stolicę zbuntowanego Seczuanu Czingtu, ogłoszone jednak wówczas wiadomości o stłumieniu powstania, okazały się blagą. Cały zachodni Seczuan pozostawał w ręku powstańców, a obecnie zadała rządowi partya rewolucyjna straszny cios, opanowując drugie co do wielkości miasto Chin, Hankou. Powstanie było tu przygotowane oddawna i osiągnęło niespodziewany sukces. Dzisiejsza prowizoryczna stolica republiki chińskiej składa się z trzech miast (Hankou, Wuczang i Aujang), oddzielonych od siebie rzeką Janksekiangiem i dopływem jej Hunanbiangiem i liczy z górą półtora miljona ludności. Hankou jest głównym portem Janksekiangu i punktem końcowym linji kolejowej z Pekinu. Wuczang jest głównem miastem garnizonowem centralnych Chin, Aujang jedynem ośrodkiem przemysłu metalurgicznego; posiada arsenały, główną prochownię i odlewarnię dział. W mieście Wuczang wybuchło przed tygodniem powstanie, które dzięki świetnej organizacji i uświadomieniu armii opanowało w kilka godzin trzy sąsiednie miasta. Komenderujący jen. Chianpiao został wraz z 800 Mandżurami zabity, wojsko przeszło w większości na stronę powstańców, którzy opanowali prochownię, arsenały i forty i proklamowali rzeczpospolitą. Na czele stanął rząd prowizoryczny, postępujący z niezwykłą energią i sprawnością. Od rewolucji nie ucierpiał dotad nikt z postronnych, cudzoziemcy znajdują się w zupełnem bezpieczeństwie. Siły powstańców w Hankou liczą 25.000 ludzi. Rozporządzają oni znakomitą bronią, 140 armatami, zabranemi z arsenału, mnóstwem amunicji i skarbem około 5 miljonów koron. Równocześnie powstańcy seczuańscy wystąpili zaczepnie i dziś od źródeł Janksekiangu i Hankou powiewa trójkolorowy sztandar republiki. Rząd znalazł się w rozpaczliwem położeniu, wobec tego, że zbuntowane wojska należą do najlepiej wyćwiczonych, a pozostałe są tak niepewne, że musiano je w szeregu miast rozbroić. Wysłano dwie dywizye z Pekinu pod wodzą popularnego gen. Juangszikaja, któremu oddano dyktatorską władzę. Sukces ich jednak dość problematyczny, wobec tego, że powstanie rozszerza się z niezwykłą szybkością. Na czele powstańców stoi były generał Liuangheng, a przypuszczalnym prezydentem republiki zostałby dr. Sunjensen, bawiący obecnie w Stanach zjednoczonych. Mocarstwa zachowują się na razie neutralnie. Dwom z nich, Rosyi i Japonii jest rewolucya oczywiście w najwyższym stopniu nie na rękę, ze względu na ewentualne przyszłe wzmocnienie Chin. Rosja zamknęła już ruch na swojej kolei mandżurskiej, aby nie dopuścić stojącej załogą w Cicikarze (w pn. Mandżurji) dywizji chińskiej, najbardziej zarażonej duchem rewolucyjnym, do marszu na Pekin. Rewolucyę chińską omówimy, ze względu na jej światowe znaczenie, obszerniej w przyszłym numerze.

W PORTUGALII cofają się oddziały reakcyjne za granicę hiszpańską, zaopatrują się tam i wracają napowrót. Taki system walki nie może wprawdzie złamać rządu, ale utrzymuje kraj w ciągłym niepokoju. W ten sposób prowadzona walka może ciągnąć się całe miesiące.

W BELGII odbyły się wybory do rad miejskich. Sprzymierzone partye lewicy liberali i socjaliści odnieśli zupełne zwycięstwo. Klerykali stracili większość w Antwerpii, Brukseli, Liege i Brugge. Były premier Schollaert upadł. W gminach wiejskich drobne przesunięcia na lewo.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał IV.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada Adres Redakcyi i Administracyi: Sienkiewicza 9. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

ROCZNIK XIII. WRZESIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**